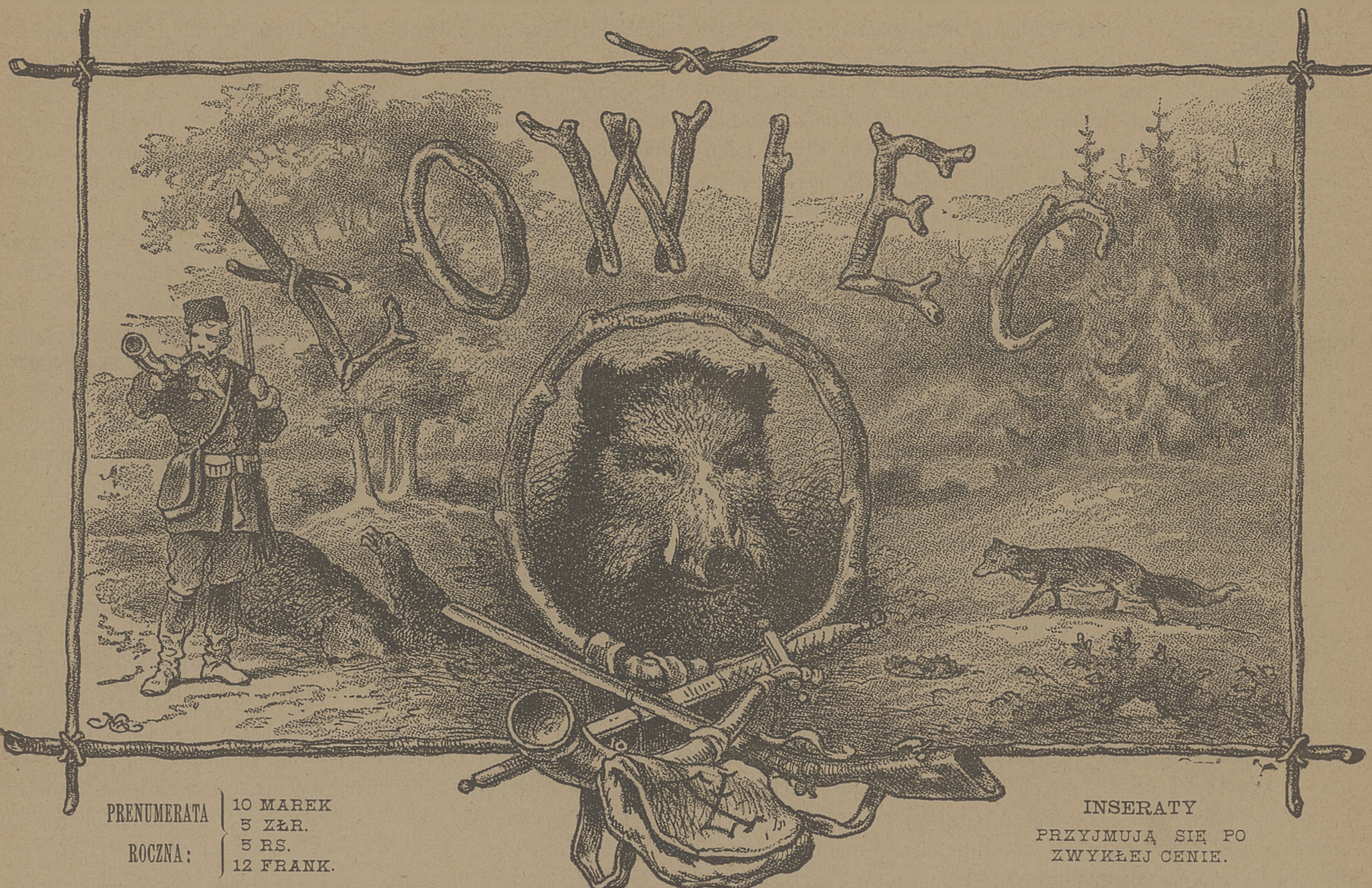
Nr. 9. Lwów, dnia 1. Września 1881. Rok IV.




PRENUMERATA ROCZNA: 10 MAREK 5 ZŁR. 5 RS. 12 FRANK.

INSERATY PRZYJMUJĄ SIĘ PO ZWYKŁEJ CENIE.

WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA.

## Sprawy Galic. Towarzystwa Łowieckiego.

Wpisali się w poczet członków Tow. łowieckiego.

Eisner Robert.
Golejowska Urszula hrabina.
Lubomirski Andrzej książę.
Madejski Adam.
Matkowski Jan.
Onyszkiewicz Adam.
Stadnicki Józef hrabia.
Załęski Gabryel.

# WSPOMNIENIA z WYPRAWY MYŚLIWSKIEJ do SYRYI ROKU 1881.

PRZEZ

Leopolda hr. Starzeńskiego.

(Ciąg dalszy).

Roje łódek podpłynęły do statku i różnobarwne, krzykliwe zastępy kupieckie, z najrozmaitszymi towarami i z żywnością różną, zaległy cały pokład naszego statku. Głównym przedmiotem przemysłu tamtejszego są wyroby bukszpanowe w rozmaity sposób rzeźbione i perłową macicą i muszelkami przyozdobione. Nakupiliśmy wiele tych drobiazgów, które stosunkowo, bardzo są tanie. Ponieważ statek trzy godzin blisko zatrzymuje się w tutejszej zatoce, kilku z naszych towarzyszy udało się do miasta, by zwidzić zwaliska starego zamku należącego niegdyś do Kawalerów Maltańskich, i wynaleść ślady po sławnym Kolosie Rodyjskim, których niestety nikt jeszcze dotąd odszukać nie umiał. Niektórzy nawet nowożytni badacze śmią twierdzić, że ten Kolos nie istniał nigdy. Jestto sposób najwygodniejszy, poprostu zaprzeczyć istnieniu rzeczy, której się zbadać nie umie. Morze było niespokojne i łódka tak z naszymi kolegami po falach bujać poczęła, że zaledwo, zamiast do portu w Rhodos, nie zapłynęli na tej łódce aż do Rygi. Ja pozostałem na statku, by narysować nęcącą mnie

bardzo pięknymi kształtami zachodnią basztę fortu. Wieczorem popłynęliśmy dalej. Wiatr wschodni wiał zawzięcie, ale nasza wspaniała Scamandra leci i leci, niczem nie zachwiana, jakby gondola na spokojnych weneckich lagunach. Wcale ona niepodobna do zbyt wesołej niemieckiej Niobe, która na spokojnem morzu nawet całą noc, choć bez muzyki, tańcuje swego Laendlera. Noc zapadła, a wicher szalał ciągle. Na pokładzie nie można było dosiedzieć, bo wiatr wszystkich z nóg walił, i mokre bałwany dolatywały aż do nas co chwili, nie pożądaną darząc nas kąpielą, zeszliśmy więc do gniazd naszych. Morfeusz za chwilę całą polską kolonię porwał w swe objęcia, i starał się ją ochronić przed podróżą do Rygi, ale mu się to nie udało. Ja tylko, Kara Audżi i Kazimierz Drohojowski wyszliśmy obronną ręką z tej przygody.

Nadszedł i dzień ostatni naszej morskiej podróży, bo dziś w nocy stanąć mamy w Mersynie. Wiatr ustał, cudna pogoda, płyniemy swobodnie i wesoło, po lewej stronie widne wybrzeża Azyi i góry okryte śniegiem, na prawo morze, i nic — nic na widnokręgu. Po śniadaniu wylęgła jak zwykle na pokład cała nasza polska kolonja, i paliliśmy spokojnie cygarety z wybornego tureckiego tytoniu, gdy nagle jak grom spada wieść pośród nas, że się coś strasznego stało na statku, że kogoś z okrętu w morze wrzucono. „*Un homme à la mer!*“ Przestrach, gwałt ogólny! a wieść wyszła z szeregów muzułmańskich, licznie przedstawionych na naszym okręcie. W tłómaczeniu przyniósł ją nam Rudzki, najmilszy towarzysz podróży, ale turysta przybyły z Paryża, podróżujący po raz pierwszy po Wschodzie, i będący wiecznie pod wrażeniem opisu strasznych niebezpieczeństw, na które się tu jest narażonym. Nieznajomość języka do wielu nieporozumień doprowadzić może. Wieża Babel była tego dowodem. Kara Audżi dopiero rzecz wyjaśnił, zasięgnąwszy języka u jednego z wyznawców Alkoranu, a naocznego świadka katastrofy. Otóż ta rzecz przełożona z języka Osmanów na język galicyjski tak się miała: Więziony w klatce siwy gołąbek, rodem z Marsylii, przeznaczony na pieczyste dla podróżnych I. czy II. klasy naszego statku, szczęśliwie a raczej nieszczęśliwie umknąć zdołał ze swego więzienia, i chwilę szybując po nad okrętem, niewprawnem skrzydłem wyleciał po nad szumiące morskie fale. Białe mewy, tworzące naszą nieustanną i nieodstępną eskortę, z krzykiem i hałasem rzuciły się na francuskiego przybysza. Ktożby uwierzył, że te miłe ptaszęta, pół-oswojone, chwytające bułkę, a nawet cygaretowe papierki z rąk naszych, tak niegodziwej oddadzą się pirateryi? Biedny gołąbek upadł na morskie fale, i przez białą naszą eskortę w kawałki rozszarpanym został.

Nad wieczorem zerwał się znowu wiatr silny, po prawej ujrzeliśmy jakby w mgle wybrzeża wyspy Cypru, morze stało się nadzwyczaj hulaszczem i wesołem. Scamandra puściła się już na dobre w pląsy, byłbym chciał widzieć Niobe w tych warunkach. Jakaś niemoc opanowała większość naszej polskiej kolonii. Dwóch naszych towarzyszy, chciwych komfortu i wykwintniejszej kuchni, z drugiej klasy, którą płynęła nasza Polonia, przeniesła się do I. klasy i dopłacili za to 160 franków. Nie widziałem w życiu jeszcze gorzej umieszczonych pieniędzy. Ta nowo kreowana Izba Panów naszej wyprawy, wstrzymać się musiała od obiadu w I. klasie, w skutek kołysanki Scamandry, zaś Izba Niższa, niepodlegająca chorobie morskiej, z apetytem zjadła w II. klasie obiad, który był wybornym. Wszystkich wreszcie między Rygą a Morfeuszem noc czarnemi swojemi skrzydłami osłoniła. Ja i Kara Audżi przepędziliśmy część nocy w miłej gawędzie na pokładzie statku, i przypatrywaliśmy się fosforycznym iskrom, które jakby roje świętojańskich robaczków koło statku latały i w nurtach tonęły. Trzeci czuwał spokojnie Kazimierz Drohojowski, i tak z całej naszej załogi trzech nas tylko pozostało na straży sztandaru polskiego. — O północy zawitaliśmy do Mersyny, do ostatniego kresu naszej morskiej podróży, ale wylądować mogliśmy dopiero z rana. W Mersynie zajechaliśmy do gościnnego domu pana Geoffroy, konsula francuskiego, którego Kara Audżi, jako dawny dobry znajomy, zawiadomił telegraficznie o naszym przyjeździe. Zaproszono nas na śniadanie wyborne, i już czysto-wschodnie. Składało się ono z jaj na miękko, z ryb najrozmaitszych morskich, z mózgu w ptysiowem cieście, z gulaszu z ćwikłowych buraków, z ryżu z zielonym groszkiem ze słoniną, z baraniny na zimno z zieloną sałatą, z kwaśnego mleka bawolego, i z wybornych kompotów, konfitur i innych słodyczy. Pani Geoffroy, osoba bardzo przystojna i bardzo miła, młoda mężatka od roku dopiero tu przybyła, urodzona w Sabaudyi, z wdziękiem i elegancyą francuską honory domu robiła.

Niezatrzymując się długo w Mersynie, udaliśmy się tegoż samego dnia w dalszą podróż do Adany, dokąd jeszcze 9 godzin jazdy powozem, a nocleg miał nam wypaść w miasteczku Tarsus. Jakież było nasze zdziwienie, gdy zajechały bryki pod rzeczy nasze i dwa prawdziwie europejskie powozy kryte, których budy spuszczone tworzyły z nich istne koczyki nasze spacerowe. Wsiedliśmy do powozów. Na północy sterczy pasmo gór Bulgar-Dagh, szczyty ich okryte śniegiem. Widać, że w tej części Azyi nie ma rządów autonomicznych, jak w Galicyi, bo zastaliśmy gościniec wyborny, i wydawało nam się w naszym ekwipażu, że odbywamy spacer w Praterze. Z tego snu budził chyba widok woźnicy w turbanie i dzwonki wielbłądzich karawan, z któremi krzyżowaliśmy się co chwila. Śliczną jechaliśmy okolicą, żyźną doliną Mersyny, ciągle wzdłuż stoku gór Bulgar-Daghu.

W ciągu naszej podróży spotykaliśmy ciągle różnych podróżników, wybierających się do krajów, z których my właśnie przyjeżdżamy, i ci podróżnicy choć bez statków i bez kolei żelaznych, prędzej niż my, w nasze rodzinne zawitają strony. Są to liczne stada skowronków czajek i szpaków, ale najliczniejsze były stada gawronów, które jak czarne chmury po nad głowami naszemi krążyły i zalegały okoliczne pola. W niespełna dwóch godzinach zajechaliśmy do Tarsus. Dziwne to miasto, sławne z czasów Aleksandra Macedońskiego, Kleopatry i Antoniusza głębokie zrobić musi wrażenie. Wjeżdża się doń przez olbrzymią bramę, dziś już prawie w gruzach, a dźwigającą na swych barkach brzemię kilkudziesięciu wieków. Domy bez dachów i okien, otoczone ogrodami cyprysów, akacyi perskich, olbrzymich drzew pomarańczowych, cytrynowych i oliwnych. Kaktusy o dziwacznych kształtach, i rozmaite pnące rośliny wiją się w postaci dziwacznych festonów po starych, wyszarzałych murach. Z listem rekomendacyjnym p. Geoffroy zajechaliśmy do miejscowego proboszcza maronitańskiego. Przyjął nas, jak to zawsze na wschodzie bywa, z serdeczną gościnnością, i nadbiegła wnet mnogość arabskich dziatek chrześcijańskich, które tu pobierają naukę katechizmu. Przypatrywali się z ciekawością i nam i naszym przyborom myśliwskim, poznosili na wyścigi nasze rzeczy, i z największą uprzejmością i bezinteresownie usługiwali nam jakby kelnery paryskich hoteli. Nasz gospodarz, proboszcz mówił tylko po arabsku i po syryjsku, niebyła więc bardzo zajmująca między nami rozmowa, ale między uczniami jego znaleźliśmy tłómaczy, którzy wcale dobrze władali francuskim językiem. Mieszkają tu na probostwie dwaj Włosi. Jeden jest nauczycielem francuskiego języka, ale sam włada nim „*comme une vache espagnole*“, dla ludności Tar-

susa widać że i to wystarcza, drugi jest lekarzem, ale zdaje mi się, że amatorem lekarzem tylko, bo ludność tutejsza jest zdrowa, chorób niezna, więc i amator lekarz wystarcza. Jestto zapamiętały myśliwy, posiadający zgraję psów legawych i innych, hodujący łaskawe czerwone kuropatwy, i opowiadający cuda o swoich myśliwskich wyprawach. Gdyby dziesiąta część tylko jego opowiadań mogła być prawdą, to w obec jego mistrzowskich strzałów powinnibyśmy na szczątki pokruszyć nasze iglicówki, lankastrówki i expressy, a słynny pogromca lwów Gerard, a nawet najpierwszy dziś w świecie strzelec Carver nie powinienby więcej do ręki brać palnej broni. Podano nam wieczerzę, po której w dwóch pokojach proboszcza ułożyliśmy się do snu, i bylibyśmy spali wybornie, gdyby nie szczekanie psów myśliwskich naszego lekarza Włocha, a głośniejsze jeszcze chrapanie jednego z kolegów naszych. O świcie udaliśmy się do skromnego kościółka, w którym proboszcz odprawił nabożeństwo maronitańskie, którego liturgia wcale prawie się nieróżni od łacińskiej. Pożegnaliśmy gościnnego gospodarza i otoczenie jego (o zapłacie żadnej oczywiście mowy nawet nie było), a wszyscy nas żegnali serdecznie, jakby dawnych przyjaciół tak, że wyjazd nasz był podobnym do tryumfalnego pochodu. Z okien domów kobiety rzucały bukiety przed nasze konie, a dziatki podawały nam kwiaty, głosząc serdeczne wyrazy i życzenia szczęśliwej podróży, wyrazy, których niestety nie mogliśmy zrozumieć. W taki to sposób europejczyk wyjeżdża z miasta na Wschodzie. Gdyby zaś mieszkaniec Wschodu przybył do naszej ucywilizowanej Europy, i zajechać musiał oczywiście do którego z hotelów naszych, pewnie odjeżdżając niezastałby bukietów rzucanych przez ludność na jego drodze, ale haniebnie odarty dążyćby musiał do nowego noclegu, gdzie go nieomylnie los podobny znów spotka. A przecież my ustawicznie głosimy, że Europa tylko jest ucywilizowaną, a na Wschodzie dzicz i barbarzyństwo.

Przejechawszy śliczne, żyzne doliny, na których towarzysze nasi od czasu do czasu strzelali bez skutku z powozu do orłów i sępów, o samem południu stanęliśmy w Adanie. Wielkie to jest miasto, liczące kilkanaście tysięcy mieszkańców, z bazarem i wielką ilością sklepów, ale tak ściśle orientalne, że żadnego w niem nie ma porządnego hotelu. Zajechaliśmy do przyjaciela naszego wodza Kara Audżi, pana Melhamé, Maronity-Araba, człowieka bardzo zamożnego i wykształconego. Tu gościnność arabska w najświetniejszej okazała się barwie, bo dom cały oddano nam niejako na własność, zastawiono sute śniadanie z potraw krajowych i na przemian europejskich i wyborne wino Bordeaux podano do stołu obok win krajowych. Po śniadaniu Kara Audżi udał się do gubernatora Adany, Abedin-Paszy, ex-ministra spraw zagranicznych i przedłożył mu nasz sułtański Firman. Gubernator natychmiast stosowne wydał rozporządzenia i jutro o godzinie 11tej oczekuje nas z audencyą. Mam zamiar się wstrzymać od zaszczytu oglądania gubernatora, który nie jest ani Midhatem, ani żadną słynną osobistością, a mając nadzieję zapolowania jutro, wolę oglądać kuropatwę lub frankolina, niż jakiegokolwiek tuzinkowego tureckiego gubernatora. Nasz gospodarz zaprosił nas na wieczór na teatr turecki, na który dla nas zatrzymał trzy loże. Obiad równie był obfity jak śniadanie, ale myśmy już pozostać musieli w postaci biernych widzów pomimo tego, iż gospodarz ciągle powtarzał nam arabskie przysłowie: „O tyle mnie kochasz, o ile jesz u mnie“. Obfite śniadanie zabiło obiad, i lubo wszyscy pokochaliśmy serdecznie gościnnego i miłego pana Melhamé, już obiadu jego jeść niebyliśmy wstanie, chociaż był wybornym. Wieczórem poszliśmy wszyscy na teatr. Gmach teatralny jest istnym gmachem zbudowanym na wzór naszych teatrów europejskich. Loże są obszerne i wygodne, a w dodatku panuje tu swoboda nieznana u nas. Każdy w swej loży palić może cygaretę lub nargilie. Płeć piękna niestety słabo jest reprezentowaną, na czem oczywiście wszelkie przedstawienie teatralne na uroku traci. W lożach widny liczny wprawdzie zastęp dam, ale te wedle orientalnego zwyczaju swoje oblicza zakrywają zasłoną, a więc binokle stają się niepotrzebnym optycznym przyrządem na przedstawieniu sztuk tureckich. Orkiestra teatralna również słabo jest przedstawioną. Co grano, tego niewiem oczywiście, bo byłem zarówno na tureckim teatrze, i na tureckiem kazaniu.

Dziś, 23 Lutego, czterech naszych towarzyszy z Kara Audżim na czele, udało się o godzinie 11tej z rana do gubernatora, który godzinę przedtem przysłał swego pułkownika, komendanta żandarmeryi do nas. Gubernator przyjął naszych towarzyszy bardzo uprzejmie i obiecał wszelką pomoc. Ja zaś z Rudzkim, z jego strzelcem, z Brzostowskim i dwoma przewodnikami udałem się wcześnie na łowy, pod przewodnictwem bardzo grzecznego Araba tu zamieszkałego, mówiącego wcale dobrze po francusku, ale wcale niemyśliwego. Gościnność arabska tak daleko sięga, że nawet nie myśliwy wszelkie trudy myśliwskie ponieść gotów, ażeby tylko swoich gości zabawić. Wystarał się on dla nas nawet o wyżełka w postaci suczki nazwanej: „Bella“, z którą i jej trzymiesięczne szczenię pobiegło. Tu wszelakoż wszelkie mieliśmy prawo powiedzieć: „Przyjmujemy chęć za uczynek“. Tę suczkę wyżłem nazwano, ale zdaje się, sądząc po jej kształtach, pradziad jej musiał być szakalem, a jej prababka — wiewiórką. Do żadnej wprawdzie zwierzyny nie stawała, ale za to każdego zająca i kuropatwę ze sto kroków przynajmniej głosem goniła, a jej niemowle opuszczone zawsze przez ten czas wyło z rozpaczy. Z takim taborem myśliwskim ruszyliśmy więc, jak chwiejne łódki na Ocean, na naszą pierwszą myśliwską wycieczkę. Byliśmy pierwszą straconą widetą naszej wyprawy. Po dwugodzinnym marszu z miasta Adany, przez rozległe błonia, rozgrzęzłe po świeżym wylewie, doszliśmy do wzgórza, na którem nasz wódz obiecywał nam frankoliny i czerwone kuropatwy. Te wzgórza okryte są niskimi, rzadkimi krzewami zwanymi: *paliurus aculeatus*. Jestto rodzaj tarniny z kolcami takimi, że kolec naszej tarniny ma się do jej kolca jak szpilka do brytnala. Biada ci myśliwcze, jeśli cię ten krzew w swoje uchwyci objęcia! Siła jego przyciągająca tak jest silną, że się jej nie wydrzesz z pewnością. Często się to w życiu zdarza, że kolce, które w nas wbija jakaś droga sercu istota, jeszcze bardziej nas ku niej pociągają. To się zdaje sofizmem, a jednak jest prawdą. Gdzieś nawet czytałem zdanie, że niewiedzieć co w róży bardziej przyciąga, czy jej woń, która odurza, czy jej kolce, które wprawdzie ranią, ale trzymają zawzięcie. Tak i z tą krzewiną Syryjską. Myśliwego przyciąga kolcami i trzyma, a gdy zechce to często powtarzać, i wyrwie się jej gwałtownie, to biada jego szatom! Wyjdzie wypierzony jakby cietrzew w Lipcu, a może nakoniec być wziętym za świętego przez wyznawców Alkoranu. Pomiędzy tymi krzewami rosną krocie kwiatów, traw i krzewów, które bardzo często w naszych cieplarniach widywałem, ale które jako profan botanik nazwać nie umiem. Tyralierską liniją zaczęliśmy się posuwać, a Bella przed nami zaczęła udawać, że szuka zwierza. Upał bardzo nam zaczął dokuczać. Zajęcy ruszyliśmy z kilkanaście i kilka przepiórek. Strzały zaczęły padać. Ja zabiłem dwie przepiórki i dwa zające, a Brzostowski zająca. Ruszono kilka frankolinów i czerwonych kuropatw, wszystkie uszły chybione. Przedemną żaden z tych szlache-

tnych ptaków się nie porwał i byłem w rozpaczy. Gdyśmy wyszli na wzgórza, ujrzeliśmy na przeciwnym stoku góry stadko składające się z dwudziestu kilku antylop, które ruszone widać naszymi strzałami, oddalały się zwolna. Po dalszym pochodzie ujrzeliśmy znowu trzy antylopy w dolinie. Nie mieliśmy środków, by na nie urządzić pogonkę porządną, a o podchodzeniu ich w tak otwartem polu mowy być nie mogło. Zaimprowizowaliśmy więc dziwaczne polowanie. Oto nasz uprzejmy Arab ze swym sługą, i nasi dwaj strzelcy mieli tworzyć pogonkę, a my rozstawiliśmy się we trzech na przeciwległem wzgórzu, w odległości oczywiście od siebie takiej, w jakiej stoją od siebie monitory na Oceanie. Skoro pogonka nasza ruszyła, ujrzałem uciekającego szakala, a za nim pomknęło stadko antylop przez miejsce nieobsadzone. Brzostowski strzelił do nich bez skutku na ogromną odległość. Odbyliśmy dalszy pochód polując na frankoliny i kuropatwy. Nad wieczorem dopiero zabiłem czerwoną kuropatwę, pierwszą w życiu. Rudzki zabił przepiórkę, a strzelec jego dwie przepiórki, i tak nasza stracona wideta wróciła do Adany z trzema zającami, 5 przepiórkami i jedną czerwoną kuropatwą.

24 Lutego. Raniutko całe nasze myśliwskie grono już było na nogach i wyruszyliśmy na łowy, wszyscy pieszo, z wyjątkiem Józefa Drohojowskiego, który jako Rotmistrz kawaleryi ces. król. armii austryjackiej, najął sobie arabskiego mierzynka, by jak dragony Sadyka Paszy, pół konno a pół pieszo spełniać służbę myśliwską. Eskortę naszą tworzył oddział tureckich strzelców, którzy nam służyć mieli w potrzebie za pogonkę. Była to w istocie pogonka, o jakiej się z pewnością żadnemu z Nemrodów Europejskich nigdy nie śniło. Wszyscy w fezach, turbanach, z najrozmaitszą bronią palną i sieczną, niektórzy z janczarkami długości spis kozackich, inni z lichemi pojedynkami kapslowemi, z jataganami, kindżałami i pistoletami. Całość malownicza i nadzwyczaj oryginalna, to prawda, ale zachowaj Boże każdego myśliwego europejczyka od takiej pogonki! Turcy i Arabowie są to najgościnniejsze narody na świecie, ale gościnność ich kończy się z ich myśliwstwem. Tu każdy jest egoistą, o sobie tylko myśli, o sposobie przyjścia do strzału. O gościach zapomina wtedy zupełnie, i czyni to z pewną naiwnością, która wszelki gniew rozbroić musi. Doświadczyłem tego nieraz. I tak, wypatrzone antylopy, na któreśmy się rozstawili, nasi naganiacze wypłoszyli nam dwa razy, bo każdy z nich poprzednio na własną rękę chciał się pod nie podkraść, i tak nikt nie przyszedł do strzału. Na zwierzynę dziś zabitą nasi Turcy i Arabowie wyłączny położyli monopol i bardzo mało europejczykom się dostało. Przybyły do nas przez gubernatora przysłany na dzielnym rumaku, wiekowy już Turek, pan Mehmed, sławny gracz dzirytowy, przez grzeczność obowiązał się na nas zwierzynę napędzać. Bardzo to sympatyczna postać, jeździec znakomity i najlepsze okazywał chęci. A jestto Bej, człowiek bardzo bogaty. Bez broni, na swoim dzielnym rumaku hasał przed nami na pustyni, spędzał frankoliny, wypatrywał antylopy i nagonił na nas szakala, który zmęczony biegiem skrył się w gęsty krzak mirtowy i w nim się ostanowił. Działo się to o pareset kroków przed Kazimierzem Drohojowskim, który nim zdołał dobiedz, już dwóch zbrojnych Turków go wyprzedziło, i ci dwaj zbyt zapaleni łowcy w krzaku siedzącego zwierza zamordowali. Niepowiodło się nam więc ani z antylopami ani z szakalami, tych ostatnich ruszyliśmy kilka, do jednego chybił Brzostowski, drugi pomknął przed Rudzkim, ale uszedł bez strzału. Z naszych zabił tylko Kazimierz Drohojowski dwa zające, a Brzostowski zająca i 10 skowronków syryjskich, większych od naszych, z czarnemi obwódkami u szyi, jak u synogarlic, a przez gastronomów uważanych za przysmak pierwszorzędny. Prócz tego zabił on frankolina, a Rudzki zająca i frankolina, którego dla braku wyżła znaleść niezdołał, zbarczył także czerwoną kuropatwę, którą uciekającą jakiś Turek dobił. Nasza poczciwa Bella wcale nie chciała się zatrudniać wyszukiwaniem postrzelonej zwierzyny. Ja zabiłem jakąś ciekawą siwą sowę syryjską. Turcy nasi jeszcze zabili frankolina i przepiórkę. I tak dziś zabiliśmy ogółem: 1 szakala, 2 frankoliny, 1 kuropatwę czerwoną, 4 zające, 1 przepiórkę, 1 sowę i 10 skowronków.

24 Lutego. — Całe nasze grono myśliwskie wyjechało konno na łowy. Nauczeni wczorajszem doświadczeniem zaprotestowaliśmy uroczyście przeciw organizacyi tutejszej pogonki, i rozbroiliśmy wszystkich reprezentantów Porty Ottomańskiej, tak, że dwom tylko Turkom palną broń zostawiono. Po dwógodzinnym pochodzie stanęliśmy na miejscu. Znaczną ilość ruszono frankolinow i kuropatw, co świadczy o niesłychanej ilości tych pierwszych ptaków, gdyż frankolin nawet przed doskonałym wyżłem nie chętnie się zrywa, a my z naszą pogonką polowaliśmy na niego na wydeptanego. Wiele strzelano, zabijano, chybiano, ale niestety najwięcej postrzeliwano. Frankolin jestto ptak uznany jako najwyższy specyał przez gastronomów. Przekonaliśmy się o tem, ale ja jako myśliwy a nie gastronom znowu śmiało śmiem twierdzić, że to jest jeden z najmilszych strzałów, o jakim można zamarzyć. Boleśnie to pomyśleć, że taka ilość tych szlachetnych ptaków, przez nas postrzelonych, stała się łupem jastrzębi i szakali. A powodem tego jest u nas brak dobrego wyżła, bo nawet owa nasza suczka Bella ze swem niemowlęciem dzić się nie pojawiła.

Bracia moi w Nemrodzie! Prawdziwi polscy myśliwi, których już dziś tak mało, i z każdym rokiem co raz mniej będzie! Do was się odzywam! Przyjmijcie przyjacielską przestrogę. Gdyby was kiedy duch łowiecki paparł do przedsięwzięcia wyprawy podobnej do tej, którą myśmy teraz przedsięwzięli, niebierzcie z sobą z kraju ani strzelców ani kamerdynerów, którzy wam będą tylko balastem niepotrzebnym, i na to się chyba przydadzą, aby gdzieś na stacyach wasze kuferki podróżne zagubić. Wierzcie mi, że się staniecie tylko sługami sług waszych, niańkami przywiezionych przez was dorosłych dzieci. Ale weźcie natomiast ze sobą choć jednego wyżła dobrego. Zapóźno przekonaliśmy się o prawdzie tego twierdzenia! W podobnej wyprawie, pamiętaj o tem myśliwcze, że jeśli chcesz robić oszczędności, to jedź trzecią klasą na statku i kolejach, ale nie żałuj kosztów na przewóz dobrego wyżła, bo tego tu niedostaniesz. Kara Audzi zabił frankolina, Rudzki zajęcy parę, Józef Drohojowski i Kazimierz Drohojowski każdy czerwoną kuropatwę, Brzostowski zająca, a wszyscy prócz tego popostrzeliwali wiele kuropatw i frankolinów, które pozostawili na pastwę szakalom. Już z południa część naszych towarzyszy strudzona upałem i pochodem śród mirtowych zarośli, już do dalszych łowów niezdolną była. Z takim to kontyngientem myśliwskim mieliśmy naszą syryjską wyprawę dalej prowadzić! Znękani więc już z południa łowcy nasi, wsiedli na swoje rumaki i udali się na powrót do Adany. Podczas powrotu Jozef Drohojowski napotkał spragnionego frankolina, który nad strumykiem jakimś szukał ochłody i tam go zastrzelił. Słońce było wysoko, a więc niestrudzona część towarzystwa postanowiła dalsze prowadzenie łowów. Pozostali nigdy nie strudzony nasz wódz Kara Audżi, Rudzki, strzelec jego, Brzostowski i ja, oraz dwóch Turków uzbrojonych. Jakaś fatalność zaciężyła nad nami, bośmy wpadli zaraz na najpiękniejszą siedzibę kuropatw i frankolinów, ale gorączka jakaś widoczna opanowała

polskich strzelców. Strzelaliśmy tak, że się pewnie prorok w siódmem niebie z nas uśmiać musiał. Padło wprawdzie kilka sztuk zabitych naszymi strzałami, ale ta ustawiczna nasza strzelanina była istnym benefisem szakali. Wyżła! Gdybyśmy mieli wyżła! Na mnie od dwóch dni bogini Diana niełaskawa była, niepozwoliła mi ani razu przyjść do strzału, teraz na chwilę odwróciła odemnie swoje groźne oblicze, zabiłem nareszcie frankolina pierwszego w życiu. Śliczny to ptak, upierzenie jego tak dziwaczne a harmonijne zarazem, na kruczej piersi jego systematycznie białe plamy, około szyi obrączka brunatna, z głowy podobny do jarząbka, a czarne oczy okolone białą obwódką. Grzbiet i ogon szaro-brunatny przypomina barwą słonkę, nogi i dziób jasno-żółte. Sam ptak przypomina kuropatwę i jarząbka, ale jest od nich nieco większy. Siedzibą jego są pustynie mirtem, dzikiemi liliami i innemi krzewami zarosłe, przeważnie w pobliżu wód bieżących. Na żer wychodzić jednak lubi na pola, mianowicie na oziminy. Jestto jeden z najkapryśniejszych ptaków, jakie widziałem, i ztąd też wynika głównie ów niesłychany urok polowania na niego. Żaden najwytrawniejszy nawet myśliwy przewidzieć i określić niezdoła, gdzie i w jakiej porze frankolin siedzi, choćby nawet w okolicy, w której te ptaki jak najobficiej się znajdują. Spotykałem też je na skałach i na piaskach, w gąszczach i na oziminach, w miejscowościach suchych i na głębokich wodach. Widywałem je czasem niesłychanie ostrożne, zrywające się przed myśliwym na taką odległość, że o strzale niemożna było myśleć, to znów dotrzymujące przed wyżłem, jak nasze leniwe chruściele. Najciekawsze polowanie na frankoliny jest niezawodnie na wiosnę, a to na tokujące koguty. Śpiew jego weselny równie jest głośny, jak wiosenny śpiew cietrzewia, a odbywa się ustawicznie prawie przez dzień cały, ale najzawzięciej przed zachodem słońca. Wtedy myśliwy z dobrym wyżłem, idąc za głosem, wysadzić musi koguta, jeśli za psem dość rączo postępuje, by mu się ptak nie porwał na zbyt wielką odległość. Frankolin, najponętniejszy ptak dla myśliwych i dla gastronomów, nieraz już wyłączną zwrócił na siebie uwagę i jednych i drugich. Nieraz próbowano go już oswoić, lub w inne sprowadzić okolice, wszelkie jednak usiłowania okazały się daremnemi, ten ptak bowiem pod żadnym warunkiem nie znosi niewoli, jest płochliwym, dzikim, podanego sobie nieprzyjmuje pokarmu, i zabija się ostatecznie zawsze o szczeble swojej klatki. Z jaja wychowany przez kurę lub kuropatwę, po kilku tygodniach ginie, pomimo najtroskliwszych starań. Rezultatem więc naszego dzisiejszego polowania były: 3 zające, 5 frankolinów, 3 kuropatwy czerwone, 2 jastrzębie i jedna sowa.

25 Lutego. — Znużenie i trudy wczorajszego polowania, które trwało wprawdzie do południa tylko, ubezwładniły już całkowicie naszych towarzyszy, i powstrzymały ich od dalszych łowów. Tak Adana stała się dla nich nową Capuą. Pod pozorem urządzenia i zgotowania obiadu, składającego się z samych polskich potraw, na cześć miłego naszego gospodarza, pana Melhamé, który nas w swym domu pomieścił i żywił z niewidzianą gościnnością, wszyscy pozostali w domu, i woleli przyjąć na siebie rolę kucharzy i kuchcików niż Nemrodów. Inni znów zaczęli sobie przygotowywać różne preperaty z głów i skrzydeł frankolinów i kuropatw, które później miały być wypchane, jako pamiątki naszej wyprawy. Dość, że ja tylko i Kara Audżi wyruszyliśmy na łowy w postaci kłusowników, jeśli taką nazwę zastosować można do jakiegokolwiek myśliwego w Azyi. Nie! w kraju, w którym żadne prawa nie strzegą myśliwstwa, gdzie każdy strzelec jest wolnym jak okręt na oceanie, i żadnych niezna granic, co uświęcone jest z resztą jako obyczaj miejscowy, tam kłusownictwa nie ma, a jeśli są jacy, to chyba nimi jesteśmy my, strzelcy europejscy, którzy przyjeżdżamy tu polować, i wdzieramy się w prawa łowieckie wyznawców Alkoranu. A więc, my dwaj tylko z Kara Audżim, w towarzystwie jednego myśliwego Turka i dwóch ludzi, którzy strzedz mieli nasze konie, udaliśmy się na łowy. Wyprawa nasza tragi-komicznym rozpoczęła się epizodem. Turek, chociaż wcale nie myśliwy wedle pojęć naszych europejskich, jest, by się wyrazić po galicyjsku, lubownikiem namiętnym polowania, przy tem wytrwałości i cierpliwości bajecznej. Każda biegająca lub latająca istota jest dla niego zwierzyną, bo jest chciwym strzału do wszelkiego zwierza i ptaka. Doświadczyliśmy tego na naszym dzisiejszym towarzyszu. Przejeżdżając przez wielki cmentarz muzułmański za przedmieściami Adany, nasz Turek ujrzał tam kilka gawronów. Duch myśliwski tak dalece go zaślepił, że nie szanując pomników prapraojców swoich, nie mógł się powstrzymać, i z konia strzelił w hurmę czarnych ptaków. Rumak jego, widać nieprzywykły do strzału pomknął przestraszony, i wierzgając aż pod obłoki, począł uciekać pomiędzy grobowce. Turek stracił równowagę nareszcie, siodło się usunęło, i w jednej chwili leżał w błocie na grobach swoich pradziadów. — Z potłuczoną nogą wskoczył znowu na swego rumaka i polował dalej z nami przez dzień cały, jak gdyby nigdy nie był leżał na pradziadów swoich grobie.

Na owej mirtowej pustyni ruszyliśmy znowu na wydeptanego mnóstwo frankolinów. Kara Audżi ruszył antylopę, która pomknąwszy na 100 kroków, długo przed nim nieruchomo stała; niemając jednak kuli przy sobie, wcale do niej nie strzelał. Zabił on potem trzy frankoliny, ale na nieszczęście, niepodniósł żadnego. Dziś na mnie fortuna zbyt była łaskawą, gdyż cała zabita zwierzyna stała się wyłącznym moim monopolem. Ruszyłem trzy szakale, ale żaden z nich niebył na strzał. Przechodząc przez pagórki mirtami okryte, ujrzałem na skalistym stoku drugiego wzgórza siedzącego na skale zwierza, którego poznać z razu niezdołałem. Jadący koło mnie Turek na koniu też go spostrzegł i zaczął coś do mnie mówić po turecku. Ja dałem mu znak, by milczał i w miejscu pozostał, a sam, zakryty mirtowymi krzakami, począłem podchodzić zwierza, który widocznie zajęty był widokiem jeźdźca. Udało mi się podejść go w ten sposób na odległość około 100 kroków. Wtedy zwierz mnie spostrzegł i zaczął umykać. Zawdzięczam dobroci strzelby systemu Teschnera z fabryki Wiśniowieckiego we Lwowie, że od pierwszego mego strzału piękny ten zwierz padł na miejscu na tak znaczną odległość. Kara Audżi patrzał na ten strzał i niechciał własnym oczom wierzyć. Zwierz przezemnie zabity był to żbik: „*felis caligata*“ zupełnie odmienny od naszych żbików europejskich. Na tle perłowem czarno centkowany jak pantera, na przednich łapach ma czarne obrączki, zresztą z kształtów zupełnie podobny do naszego żbika. Piękną jego sukienkę mam zamiar zawieść z sobą do Europy. Prócz tego zabiłem jeszcze frankolina, czerwoną kuropatwę i zająca, nad którego wielkością rozwodzili się Turcy, a ten w ich oczach olbrzym tak był wielkim, jakby nasz marczak w Lipcu. Zając w Syryi o połowę jest mniejszym od europejskiego, ale za to jego mięso o wiele smaczniejsze, przypisać to należy wybornej tamtejszej paszy.

Dość wcześnie jeszcze z Kara Audżim, jak tryumfatorowie powróciliśmy na ów polski obiad zgotowany przez naszych kucharzy ochotników, i licznymi toastami uczciliśmy naszego

nieocenionego gospodarza pana Melhamé. Jutro oczekujemy przyjazdu pana Artura Janowskiego, znanego badacza przyrody, zamieszkałego w Lattakii, który ma z nami dzielić dalsze przygody myśliwskie, a któremu burza na morzu przeszkodziła na czas przybyć do Mersyny, dziś dopiero rossyjskim statkiem ma tam przybyć. (Ciąg dalszy nast.)

# ZWIERZĘTA ŁOWNE.

## BÓBR.

Mamy mówić o zwierzęciu, które niegdyś w Polsce dosyć pospolite, dziś stało się niesłychanie rzadkiem. Można je zaliczyć do rzędu zupełnie wytępionych, dziś ono nie ma stałej u nas siedziby, a wiadomość o pojawieniu się jakiegoś pojedyńczego egzemplarza należałaby do nadzwyczajnych.

Nie wiele mamy wspomnień historycznych o bobrach i bobrownictwie w Polsce, nie znamy przeto szczegółów hodowania bobrów. To jednak pewne, iż w w. XII. i następnych zajmowano się u nas hodowlą bobrów, albowiem pozostały podania o żeremiskach bobrowych, o urzędach i urzędnikach bobrowniczych, wreszcie liczne nazwy miejscowości wskazują, gdzie owe żeremie czyli gony bobrowe się znajdowały. — Z owych historycznych tradycyi widzimy, iż bóbr był w dawnej Polsce na pół domowem zwierzęciem, hodowano go bowiem, czyli raczej chroniono nie tylko w jego przyrodzonej siedzibie, ale też zakładano dla niego sztuczne siedliska, gdzie swobodnie mógł żyć i rozmnażać się.

W pierwszych wiekach istnienia Polski, gdy jeszcze ściśle nie rozdzielano dochodów państwa od dochodów panujących, było bobrownictwo wyłączną własnością monarchów, później stało się własnością posiadaczy ziemi, i odtąd poczęło ono upadać, a bóbr bezwzględnie był tępionym.

Według *Prawdy Jarosławowej (Rakowiecki)* były bobry w Nerze, Pilicy, Warcie, Luciąży na Rusi, na Litwie w wodach Kobryni, Łoni, Wietki, Niemna, na Polesiu w Pinie, Kobrzy, Jesiołdzie, Prypeci, Sławecznie. Stawiski *(Poszukiwania do historyi rolnictwa)* wspomina, że według przywilejów XIII. i XIV. w., gdzie o bobrach nieustannie jest mowa, obfitowały w nie nie tylko rzeki większe, ale też małe strumienie, bagna i stawy. Inni pisarze wskazują miejsca ich pobytu nad Wisłą, Bugiem, Narwią, Skawą, Rabą i innemi rzekami. Według Rzączyńskiego mniej ich bywało w rzekach Wołynia, Rusi, Mazowsza i Prus, a więcej na Litwie.

W dawnych nadaniach i przywilejach widzimy częste wzmianki o bobrach. Królowie i książęta polscy fundując klasztory oddawali prawa swoje co do bobrów mnichom. Innocenty II. papież, potwierdza nadanie archidyecezyi Gnieznieńskiej, na mocy którego rzeka Nyr w całym swym biegu wraz z bobrami i ich dozorcami przeszła w posiadanie arcybiskupa Gnieznieńskiego *(Lelewel. Polska w. śr. I. p. 137)*. Mieczysław, książę Wielkopolski fundując klasztor Cystersów w Lendzie r. 1145, uwalnia mieszkańców wsi od obowiązku pilnowania bobrów i dawania podwód bobrowniczym *(Lelewel tamże p. 130)*. Bolesław Wysoki, książę Szląski zakładając klasztor w Lublinie r. 1178, nadaje prawo łowienia bobrów *(Lelewel tamże p. 137)*. Również przywileje z XIII. w. mówią o bobrach i bobrowniach w różnych miejscowościach. Nadania te były albo bezwzględne, lub z pewnemi zastrzeżeniami tak co do posiadania bobrowni, jakoteż użytkowania z nich *(Muczkowski. Codex dipl. r. 1176)*.

Dyplomata te wykazują, że bobrownictwo należało do XV. w. prawie wyłącznie do panujących, że wsie królewskie miały prócz innych powinności, także obowiązek łowienia i pilnowania bobrów, że nawet podobno wiązały się w tym celu w stowarzyszenia, na co jednak nie mamy pisemnych świadectw. *Fr. G. w rozprawie o bobrownictwie w Polsce*, Warszawa 1876, mówi: „Dozorca lasów książęcych, w których hodowano bobry, a może i naczelnik stowarzyszenia bobrowników, jak się można domyślać z nazwiska, nazywał się *panem bobrowym* lub *bobrowniczym*, jakim był bez wątpienia wspomniany niżej, a powołany przez T. Czackiego Jaszko de Maków, bobrowniczy Konrada Mazowieckiego. Istniały więc w dawnej Polsce osady bobrownicze. Tu zakładano je na czynszach, tam na sepach, gdzieindziej na pewnych daninach. Bądź co bądź bobrownictwo ówczesne stanowić musiało znaczną gałęź gospodarstwa krajowego, kiedy niem się zajęło ustawodawstwo szczegółowo. Czy bóbr w owe czasy był u nas zwierzęciem na pół domowem, czy należał do rzędu leśnej zwierzyny? Możemy pierwsze twierdzenie uważać jako sprawiedliwsze. Na Mazowszu istniały w XIII. w. książęce bobrownie z całym etatem urzędników czyli raczej hodowców. T. Czacki *(O litews. i pols. prawach T. II. str. 287)* mówi, że w r. 1229 Konradowi, książęciu Mazowieckiemu był podany przez Jaszka de Makow rejestr bobrów, z którego widać, że bobrownie były porządnie prowadzone, że tak dobierano stada, aby były jednego włosa, za Pułtuskiem było *nigricanorum castorum* 251, z nich na dwór książęcy wybrano 10, na sprzedaż 50, *ad restantiam* i *prolificationem* reszta. Jaszko bobrownik donosi Konradowi Mazowieckiemu, że drzewa klonowego bardzo wiele im zostawił, z którego *exhiemationem hebebunt*, skarży się zaś jednocześnie na Maczka de Gołęczyn, że przez złość wyjąć kazał żywność bobrom. — Wszystko to zbyt jasno przemawia za tem, że przez jakiś czas hodowano bobra jako zwierzę domowe, że zaś hodowano w lesie, nie możemy polegając na tem zaliczać bobry do dzikich leśnych zwierząt, gdyż w tem widzielibyśmy tylko korzystanie z naturalnego usposobienia bobrów do życia towarzyskiego, korzystanie z tych warunków, w jakich bóbr mógł najdogodniej egzystować, byłoby to raczej dowodem gospodarczego, zdrowego zmysłu naszych przodków. Że bobry były na pół domowemi zwierzętami, przemawia również i to, że wszędzie znajdujemy odniesiony do bobrów wyraz *łowienie* a nie *polowanie*. Gdzie je chowano, tam musiano z pewnem staraniem wybierać indywidua, a więc łowić je. Bóbr dawał zbyt wielki pożytek, aby opiekę nad nim miało pomijać prawo, dawał mięso, piękne, miękkie futro i tłuszcz znany zapewne i używany wówczas już jako środek lekarski. —

W XIV. w. jeszcze stanowiły bobry stałą gałęź dochodów książąt Mazowieckich. T. Czacki *(O prawach mazowieckich)* wymienia dochody Ziemowita z r. 1357 (wyjęte z metryk koronnych pod artykułem: Mazowsze Nr. 2), z których widzimy, że bobrownictwo było wtedy stałym dochodem. — Bobrownictwo bierze Statut litewski w opiekę, Statut zaś Wiślicki przemilcza o niem. Wnosić ztąd można, że bobrownictwo stanowić musiało wówczas jeszcze bardzo ważną gałęź produkcyi, że w niej jeszcze wszystkie stany narodu udział brać musiały. Według Statutu litewskiego posiadanie *gon bobrowych* czyli *żeremisk*, chociażby były w cudzej dziedzinie, albo od wieków należały do innego właściciela, było nienaruszalne. Nie wolno było doorywać pola, dokaszać łąki do żeremiska tak daleko, jak można kijem dorzucić; nie wolno było również łozy trzebić, gdyż tem naruszałoby się spokojność bobrowego społeczeństwa. Kto nie poddawał się prawu temu, płacił kary 12 groszy. Również surowo karana była kradzież bobrów, w czem odróżniano maść, koszulkę, włos bobra, gdyż w handlu były futra różnej ceny. Za czarnego bobra płacił przestępca 4 kopy groszy, za szarego połowę tylko. Zajmował się też Statut litewski regulowaniem używania bobrów przybłędnych: jeżeli bóbr samowolnie opuszczał żeremię, szedł na grunt innego właściciela, i tam żeremię zakładał, to przysłużało prawo łowienia jego temu, na czyim gruncie było żeremię. — W skutek zmiany ekonomicznych stosunków, nie odgrywało bobrownictwo w Polsce w XVI. w. już znaczącej roli, wzrastające rolnictwo odpychało tę gałęź w puszcze i lasy niedostępne. Na Rusi północnej i wschodniej znany był również bóbr, służąc jako produkt wymiennego handlu z Grecyą i zachodem. Edrisi zwidzający Słowiańszczyznę mówi, że między innemi zwierzętami licznie tam występuje bóbr, którego skóry jako też czarnego lisa rozchodzą się za pośrednictwem kupców do dalekiego wschodu. *(Lelewel, Polska wieków śr. II. 32. 33. 75).* Opierając się na użyteczności bobra wzięła go *Ruska Prawda Jarusława* w opiekę, oznaczając za kradzież jego karę 12 grzywien, gdyby zaś złodzieja nie złowiono, a byłaby rozkopana ziemia, albo znaleziono znak, że bobra łowiono, lub też sieć, tedy po włości szukano złodzieja, a w razie nieodszukania go, płaciła karę wieś *(Rakowiecki. Prawda ruska II. §. 45).* — Ogromne lesiste i moczarowate przestrzenie niezbyt wysuniętej północy nadawały się bardzo do hodowli bobrów, do czego ludność miejscową skłaniał korzystny wymienny handel na główny produkt życia — zboże. Jadźwingowie *(Ipatijewskaja lietopis)* prosili Wołyńskiego kniazia Władymira Wasilkowicza: szlij do nas książę żyto twoje sprzedawać, my kupimy radzi, a czego zechcesz, wosku, *bobrów* czy wiewiórek, czy kun czarnych, czy srebrnych, my damy z chęcią. — Z coraz większem drobnieniem posiadłości ziemskich w Polsce, przy coraz większem umniejszaniu się królewszczyzn, usuwało się bobrownictwo na północo-wschód, coraz dalej od siedlisk niespokojnych, aby rzeczpospolitę swoją założyć nad brzegami Bajkału. W chwili upadku gałęzi tej w Polsce, dźwiga się ona i zyskuje opiekę prawną sąsiedniej Moskwy, stawając w zetknięcie z ludźmi i stosunkami bardzo odmiennemi".

Gromadna siedziba bobrów zwała się gonem bobrowym czyli żeremiem. Litewskie bobry miano za najprzedniejsze dla czarnego, gęstego i miękkiego futra, tłustego, smacznego mięsa, łowiono go też tam bardzo. Kuchnia polska używała bobra jako potrawy postnej, robiono z mięsa kiełbasy, potrawki, *plusk* czyli ogon ceniąc najwyżej. Utrzymywano, że bóbr należy do ryb, bo ma ogon łuską pokryty. Skóry były kosztownym handlem, jezuici nosili bobrowe czapki, i drogo za nie płacili, czasem za jedną skórkę 300 złp. W Krakowskiem słynęły bobry z nad Nidy, na Podlasiu i Mazowszu z nad Narwi i Wieprza, w W. Polsce z nad Noteci. Strój bobrowy jako dzielny środek lekarski dał początek przysłowiu: *okupić się jak bóbr strojami*, myśliwi bowiem utrzymywali dawniej, że bóbr uciekając odgryzał sobie torebki ze strojem. Lud utrzymuje, że bóbr napadnięty lub ścigany płacze, ztąd przysłowie: *płacze jak bóbr rzewnemi łzami.* Od bobrów mamy wyraz *bobrować*, mówiono więc w XVI. i XVII. w. o nieprzyjacielskim napadzie, że bobruje po kraju. W Gródku koło Lwowa, gdzie koło stawu najliczniejsze były stada bobrów, zachowano grę w bobra. Chłopcy mianują jednego bobrem, drugiego strzelcem, innych psami. Bóbr się kryje, szukają go i spiewają: „O mój miły bobrze, schowajże się dobrze, od niedzieli do niedzieli, by cię charty nie widzieli, jak moje charty wylecą, to z ciebie kiszki wywleczą". — Wydrę morską *(lutra marina)* nazwano bobrem morskim z powodu podobieństwa. Od bobrów mają nazwę rodziny Bobrów, Bobrowskich i t. d., wsie, grody i rzeki. Herb Bóbr nadany Antoniemu Bobrowskiemu, wysokiemu urzędnikowi przychodów i skarbu w r. 1839 mieści w sobie: tarczę dwudzielną ze skrajem srebrnym, złotymi gwoździami nabitym, w prawem polu niebieskiem bóbr na gałęzi pnia, w lewem czerwonem kwiat kwitnącej melisy, nad nią gwiazda ośmiopromienna srebrna. W szczycie hełmu trzy pióra strusie.— Bóbr miasteczko nad rzeką tegoż nazwiska w gub. Witebskiej, rzeka wpływa do Berezyny. Biebrza rzeka wchodzi do Narwi. Bobrek, roślina z rodziny goryczkowatych *(gentianeae)* używana w cierpieniach żołądka, zimnicy i t. d. Bobrek zamek niegdyś obronny w Galicyi, w dawnem województwie Krakowskiem był przytułkiem rozbójników za Zygmunta I. Konfederaci barscy mieli tu silne stanowisko. Bobrek, Bobrza, Bobrzyca, rzeki wypływające z powiatu Opoczyńskiego. Bóbrka, miasto pow. w Galicyi. Bobrowa, rzeka w pow. Łowickim. Bobrówka, rzeka na Szlązku. Bóbrówki, jezioro w W. Ks. Poznańskiem. Bobrowica nad Wisłą w wojew. Inowrocławskiem teraz gub. Płockiej, była tu za Konrada księcia mazowieckiego znaczna osada bobrów. Bobrowniki nad Wieprzem w gub. Lubelskiej. Bobroszczur, ssak na wyspie Muria, mający pletwy u tylnych nóg, żyje w wodach. Bobrowe morze, część wschodniego Oceanu przy wschodnim brzegu Kamczatki, gdzie dawniej obficie łowiły się bobry, właściwie wydry morskie *(lutra marina)*, podobne do bobrów.

Bobrownictwo w Polsce upadało, gdy stopniowo i częściowo wraz z umniejszeniem się puszcz i zwierza, z rozszerzeniem praw wolnego użytkowania z polowania, z postępem rolnictwa i przybytkiem ważniejszych źródeł dochodów, łowy przestały być gałęzią gospodarstwa, źródłem intraty, zresztą w Polsce nie było przepisów policyjnych i ochronnych co do zwierzyny i polowania. Surowe prawa strzegły tylko dowolnego myśliwstwa w cudzych kniejach, strzegły, aby psiarnie, konie i myśliwi nie polowali w zbożach przed ich sprzętem. Ochraniano owszem ptaki drapieżne dla łowów, a lisy dla futer. Pod karą 14 grzywien nie wolno było liszek młodych bić. Polowanie stawało się coraz bardziej zabawką pańską, ćwiczeniem rycerskiem. *Hacquet* w opisie podróży (1791 — 1794) wymienia Rodatycze koło Gródka, gdzie widział bobry i jazy przez nie zbudowane. W r. 1826 ubito bobra pod Toruniem, jeszcze w r. 1838 miały się znajdować nad Narwią i Bugiem, a dziś w niewielkiej liczbie koło

Bracławia i Pińska *(Żebrawski)*. Bobiatyński *(Nauka łowiectwa. Wilno 1825)* mówi: „Znajdują się obecnie bobry w Turowszczyźnie, w Stelinie, majętności pułkownika Sołtana; w okolicach Dawidgródka, w Stachowie, pow. Kobryńskim między rzekami Muchawcem i Wołoką; w pow. Nowogrodzkim koło Szczors hr. Chreptowicza; gdzieniegdzie w Lidzkiem, mimo strzeżenia chłopi je tępią. Wysoka cena stroju najbardziej je wygubiła, idzie on za granicę, a szczególnie do Austryi, dokąd kupcy z Brodów po 40 funtów czystego i suchego z Pińszczyzny wywożą. Handel z Litwy idzie do Moskwy, Petersburga, Królewca i Lipska. W Pinszczyźnie teraz umyślnie wyznaczeni bobrownikowie łowią je w żelaza lisie, które zastawiają, gdy bobry są wytropione i przynęcone korą topolową. Zimą szczwają psami lub biją z zasadzki nad jamą".

Tyle zdołaliśmy zebrać co do historyi bobra w Polsce. Czy i gdzie on dzisiaj u nas istnieje, nie wiadomo. Zdaje się, że należy do zwierząt zupełnie wytępionych, nigdzie bowiem o nim wzmianki nie znajdujemy. Z niewielkim trudem możnaby bobra sprowadzonego rozmnożyć i hodować, o czem niżej mówić będziemy. Przechodzimy do szczegółowego opisu jego życia i obyczajów. (Ciąg dalszy nastąpi).

# BURZANY UKRAIŃSKIE

PRZEZ

**Marcelego hr. Tyszkiewicza.**

(Dokończenie).

Życie moje myśliwskie zacząłem bardzo wcześnie. Kiedy konno zacząłem jeździć, nie pamiętam, ale jak miałem trzy lata byłem chory i nie dałem dopóty pijawek sobie postawić, dopóki konia do pokoju nie wprowadzono, wtedy mówiłem, że pijawki całują a nie kąsają. W szkołach już miałem wiackiego bułanego muca, który był trudny do prowadzenia, ale radę sobie z nim dawałem. Pamiętam, że raz na wakacye z nim przyjechawszy, mając lat dwanaście, wybrałem się niby na spacer, ale w myśli na zająca z Biłym, synem mojej niańki, o pięć lat odemnie starszym, który z ojcem moim, już jako szczwacz od kilku lat jeździł. Ja byłem na bułanku, on na szczwackim koniu, a wzięliśmy z sobą dwa charty. Jeden z nich nazywał się Jaszczur, polskiej rasy z burką i wąsami, prześlicznie zbudowany i pojedyńczy na wilka, lisa i zająca. Najsławniejszy to chart z myśliwskich wspomnień mojego ojca. Pamiętam pojechaliśmy pod Jerzowe łoży i kiedyśmy w burzan wjechali, Jaszczur, który szedł bez smyczy, pomknął, my za nim, i tak wyjeżdżamy na czyste, widzimy jak ten dochodzi ogromnego wilka, równa się z nim, porywa pod ucho i w miejscu osadza, a drugi chart trzyma z tyłu za udo. Co tu z nim robić nie wiedziałem, bo to był pierwszy, z którym spotkałem się w polu. Ale Biły zeskoczywszy z konia odczepił strzemię i mówi, żebym wilka za ogon trzymał. Puszczam więc bułanka, który ucieka do domu, sam zaś biorę się do ogona, a Biły zachodzi z przodu i dawaj w nos ciukać, ale musi to ostrożnie robić, by psa nie uderzyć, który się zajadł i nie puszcza. Dosyć, że po kwadransie wilk leżał, a pies i my wypoczywaliśmy. I kiedy leżąc na trawie gawędzimy, Jaszczur zrywa się, patrzę a wilk już o pięćdziesiąt kroków od nas. Znowu go chart porwał i znowu ta sama operacya. Gdy chart puścił, biliśmy go potem na przemian jeszcze z pół godziny. Nareszcie z wielkim mozołem utroczyliśmy do konia, ja z tryumfem wsiadłem na niego i pomimo, że kuca mi wyprowadzono, bo był strach, gdy sam do domu wrócił, już na tym koniu przed sam ganek zajechałem.

Do właściwości wilka muszę dodać jeszcze ten szczegół, że go nigdy psy nie są wstanie na śmierć udusić. Widziałem na własne oczy następujące zdarzenie: Pewnego poranka latem dają znać, że wilk za ogrodem porwał owcę. W jednej chwili wypuszczono wszystkie charty ze stajni, a gończe z psiarni, kilku stajennych chłopców wskakuje na nieosiodłane konie i pędzą przez ogród w pole. Gończe trafiają na trop, zaczynają gonić, Biły zaś, który był na doskonałym koniu, zoczywszy zdaleka wilka, szczuje go, charty dochodzą, gończe także i duszą go, dobić zaś wilka nie było czem. Tak męczyły go z godzinę, i kiedy psy zjajane popadały prawie, wilk, który leżał jak nieżywy, pomału podnosi się i idzie dalej. I gdyby nie pastuch, który nadbiegł, i wilka buławą dobił, mógłby się był wykpić.

Dawszy wyobrażenie o polowaniu na wilki, przechodzę do lisów, których jest bardzo dużo na Ukrainie. Wywodzą się w burzanach i komyszach, gdzie mają swoje gniazdowe jamy, a późną jesienią ściągają do wierzchowin stawów, oczeretów i zapustów. Zapustami u nas nazywają okopane podwójnymi i potrójnymi rowami rudki, gęsto zasadzone różnego rodzaju wierzbą i łozą. Zapusty są to nasze remizy, ciągną się czasem pół mili a często nie bywają szersze nad sto kroków. Śliczne w takich zapustach są polowania, bo we cztery smycze chartów i kilkunastu naganki, można doskonale spolować. I tak: dwóch szczwaczy wysyła się na koniec zapustu, a dwóch postępuje razem z chłopcami, jeden z jednej a drugi z drugiej strony, zając jak się wyrwie idzie odrazu w step, lis zaś wykrada się daleko, a najczęściej przy końcu łóz, gdzie umyślnie na niego naprzód wysłani szczwacze czekają. Jak lis daleko od szczwacza wyjdzie, to ten puszcza charty ze smyczy, pomyka koniem i zcicha odzywa się: czy! czy! czy! aż charty lisa zobaczą. Jeżeli zapusty są szersze, to je w kilku miejscach siecią przecinają, wtedy puszczają psy gończe, a szczwacze rozstawiają się na stepie pomiędzy sieciami. Konni dojeżdżacze pilnują, żeby gończe po za sieć nie przeszły, a jeden pieszo idzie środkiem rudy i psy podkłada. Gdy się taki kawałek spoluje, gończe psy dalej za sieć przepuszczają i szczwacze też podjeżdżają dalej.

U mnie było kilka takich zapustów i wierzchowin stawów, gdzie polowanie trwało przez tydzień, a najpiękniejsza i najbardziej trudna była Puzyrecka ruda, bo tam były spławy i lis przepływał ze spławu na spław a gończe za nim. My staliśmy na tak zwanej Łysej górze, z której widzieliśmy nie tylko poszczucie i złapanie każdego lisa, ale nawet gończe w oczerecie, gdy płynęły za nim. Puzyrecka wierzchowina

stawu potrzebowała kilkanaście smyczy chartów i trzeba było od wsi rzucać sieci, bo lis przepływał rzekę i szedł przez wieś w pole, albo się chował w stodoły. Dzieliliśmy także gończe na dwie partye, jak jedna się zmęczyła, wyłapywała się, a inne świeże puszczano, i tak na przemian parę razy na dzień.

Dwojakie jest stawianie szczwaczy, albo daleko od oczeretu, albo ogon koński w rudzie. Ja zawsze byłem za drugiem stawianiem, bo lis kiedy z rudy wyjdzie w pole, to szczwacz go daleko wypuszcza i wtedy pewniej jest złapany, a byle raz zdradzony wróci do oczeretu, to już drugi raz nie wyjdzie, chyba go już psy gończe złapać muszą. W Puzyreckiej rudzie zawsze było kilka gniazd lisów, bo oprócz oczeretu, była na ćwierć mili w kwadrat okopana ruda i zasadzona wierzbą i łozą. Pamiętam jednego roku siedmnaście lisów uszczuto.

Zapewne są zabawne takie polowania, ale bez komparacyi milsze w burzanach, a najmilsze, kiedy rozjazdem na stepie sami sobie szukamy. I takie polowanie chcę wam opisać, bo tam szczułem żmijkę, jedyną w mojem życiu, a przytem opiszę pierwsze pole Szabli, charcicy mojej, która była w pierwszem polu, lepszej od siostry swej Szaszki, jej próbę z Lubą Ab.... i Sokołem Ry.... Ale co może najwięcej mnie zachęciło do wyłamania się z zakresu mojego pisania tylko o lisach, to polemika z hrabią J...., o której później mówić będę.

Przed dwudziestu laty w pierwszych dniach Listopada sześciu nas wybrało się na kilka dni na Holenderski, Samorodecki i Liniecki step. Każdy miał ze sobą jedną smycz chartów, ja zaś miałem dwie, gdyż najbliżej byłem domu. Na Syglawim Wasyl prowadził Lapcapa i Scinaja, a Karpo na Sanguszkowskiej kobyle Szablę i Szaszkę. Podemną była Stella. Psy były wtedy w siódmem polu, suki w pierwszem, przytem było pięciu luźnych kozaków, a tak razem było nas ośmnaście koni i siedm smyczy chartów, przytem wózek z kucharzem z prowizyą był z nami. Cała ta jesień była prześliczna, a ja z rozkoszą w sercu do dziś dnia ją wspominam. Wtedy byłem już pewien, że suki są nadzwyczajne i kiedy zakład stanął o pięćdziesiąt rubli dla szczwaczy, dałem naprzód po pięćdziesiąt Wasylowi i Karpowi i tem ich w złoty humor wprowadziłem. Rzadko kiedy robiono u nas większe zakłady, nam tylko o sławę charta chodziło. Zaczęliśmy polowanie od Holenderskiego stepu, zjechawszy się we Wtorek przy karczmie tegoż nazwiska, gdy już konie wierzchowe i charty w wilią dnia były wyszły i czekały. Ładny to step, ciągnie się kilka mil po nad pocztową drogą, aż do Samorodka, na którym są porozrzucane małe folwarki holenderskich osadników, gdzie kawałkami są to stepki, to orne pola poprzerzynane rowami. Ruszyliśmy więc ym stepem, trzymając każdy swoje charty na smyczy, bo było tumówione, że wtedy będziemy próbować, kiedy się zając upatrzy. Już dwa zające uszczuto, suk nie kazałem puszczać, tylko Wasyl starymi psami dobrze zająca złapał. Karpo pierwszy heco! zawołał. Upatrzył go w roli przy stepie, zaraz zabrałem Szablę i Ab... Lubę na emulacyjny smycz i odjechałem na bok, a arbitr M.... podjechał rolą, z harapa trzasnął, a gdy stary zając na step wymknął, wypuściwszy go ze sto kroków, krzyknął: puszczaj i hajż! Ale Szabla była tak rącza, że prawdziwie można ją było porównać z szybkością jastrzębia, szkoda, że tak krótko była używaną, bo po szczeniętach straciła ten swój nadzwyczajny sztos. Prawda, że tej jesieni dużo osób ją widziało i wiele burd dała, ale wszystko to było dla mnie za mało. Wówczas ja bym pragnął, żeby cała Ukraina mogła ją widzieć, ba nawet wszyscy amatorowie całej Polski. I cóż biedna Luba? Luba była tylko asystentką i patrzała jak Szabla biła zająca, a po każdym obrocie jak sokół koło niej przelatywała. Szabla dała trzy obroty, a przy czwartym dojściu widać zębem zachwyciła, bo zając kilka kozłów wywrócił, a Luba już go w pysk wzięła. To dopiero nazywa się nadzwyczajny sztos, bo przecież i Luba była pojedynczą suką i musiała być dobrą, kiedy na nią robiono zakłady, a była w drugiem polu, więc cóż to mogło być? zapyta nie jeden, że Szabla cztery obroty dała przed nią, kiedy ta także dobrze dochodziła i łapała. Na to zapytanie odpowiadam, że Szabla była trzy i pół razy rączejsza od Luby, a cztery razy od zająca. Czyż to jeszcze niektórych panów nie przekona, że obrot wszystko znaczy, a porwanie zająca jest małą rzeczą? Czyż jastrząb *palumbarius* gdy spudłuje gołębia, przestaje być dziesięć razy szybszy od niego w locie? Czyż tak samo i chart, który uderza zająca, a sam z kilkadziesiąt kroków się unosi, nie jest szybszy od tego, który się zbliża pomału, ale schwyci go pewniej? Przed kilku tygodniami pisze do mnie hrabia J...., wielki amator charciego polowania, że się z tem ze mną nie zgadza, i tak mówi w swoim liście: „ten chart dobry, który bierze, obroty wcale albo wyjątkowo tylko daje, z zającem w momencie się zrówna, zrównawszy się chwilę dla odsapnięcia paralelnie z nim idzie, a potem gładko chwyci“. Tę próbę Szabli z Lubą umyślnie przytoczyłem dla hrabiego J...., bo Luba był to żywy obraz takich chartów, o jakich hrabia wyżej wspomina, dochodziła ona prędko zająca, równała się z nim i albo go odrazu porwała, albo mu dawała obrót z głowy. Miałem i ja małą psową suczkę, białą z czerwonemi oczyma, wyrodek natury, która szybko dochodziła zająca i zawsze jak na widelce bez obrotu wzięła go za uda, ale dla tego właśnie nigdy jej na zająca nie brałem, i trzymałem tylko na lisa, którego pojedyńczo brała z sanek, albo na obstawienie rudy, zresztą kto co lubi, ja lubię step i charta na nim, żeby jak jastrząb uderzał, przewracał, nawet zabijał zająca, nim go nakoniec w pysk porwie, bo to w pysk porwanie to już koniec przyjemności, to jakby spuszczenie kurtyny na cudny, żywy obraz. Nie podzielam więc zdania hrabiego J...., zapewne w skutek wyrobienia amatorstwa charciego, bo u nas tylko emulacyje, zakłady, gdzie zawsze szło o szybkość charta a nigdy o porwanie zająca. I Luba łapała i dobrze, a jednak przy szybkości Szabli wydawała się jak kundys i to spętany. Jeszcze jedno porównanie: Luba, czy inny taki pies, o jakim wspomina hrabia, widocznie zbliża się do zająca, nakoniec równa się z nim, odsapuje, i na to trzeba czasu, a potem dopiero albo schwyci albo obróci, kiedy sztosowy chart, taki jak Szabla, gdy jest pięćdziesiąt kroków od zająca, to okiem trudno dojrzeć, kiedy go uderzy i sam kilkadziesiąt kroków z tego pędu się wstrzymuje. Wiele jeszcze mógłbym przytoczyć przykładów, ale już się boję nadużywać cierpliwości szanownych czytelników „Łowca“, i wracam do polowania. Po tej próbie Szabli z Lubą Władzio Ry.... podjeżdża do mnie i coś podaje. Patrzę pięćdziesiąt rubli. Nie przyjmując, mówię mu: „Oho! poczekaj bratku, jak przegrasz to zapłacisz“. — „No to wszystko jedno, odpowiada, grać muszę ale z góry płacę, bo wiem, że przegram i powiem ci, że tak szybkiego charta nie widziałem w życiu mojem, i myślę, że Szabla jestto unikat w rodzie charcim“. Muszę tu dodać, że Władzio znał się i zawsze miewał dobre charty. Zakład, jak przewidział, przegrał i to w okropny sposób, ale z pierwszych szczeniąt Szabli dostał czarno-srokatą sukę, która była sztosową, tak jak i siwo-srokaty pies, którego dałem Konstantemu Z...., potem oboje pokazały się lepszymi od tych, które sam od niej wychowałem. Po tym pamiętnym dniu nocowaliśmy u jakiegoś bogatego Fryca Holendra, który nas po pańsku podejmował, ale i rachunek mi podał jak w ho-

telu Georgéa. Nazajutrz ruszyliśmy na Samorodecki step i na tych to kosohorach, rudkach i tyrsach suki moje pięć zajęcy wzięły, ale tak wzięły, że na całe życie w pamięci tych zostanie, którzy to widzieli. Tego dnia trzy zające uciekły od chartów M...., B.... i Z....

Muszę też tu zanotować zabawną anegdotę. Kucharz naprzód wyjechał do pasieki, już pod Liniecki step, kupił podświnka, a gdy przyjechaliśmy wieczorem, obiad nas czekał i zaraz zasiedliśmy z apetytem do niego. Jak dziś widzę te chaty ze złoconymi obrazami świętych i ten stół zasłany obrusem z czterma świecami i nas za stołem trzech z jednej, a trzech z drugiej strony na ławkach. Widzę i misy próżne a nawet smak barszczu mi się przypomina, ale najwięcej mi stoi przed oczyma mołodyca z dzieckiem płaczącem na ręku, która z zaciekawioną miną na nas patrzała, a w oczach był żal po swoim prosiaku, którego wychowała. Dziecko zaczęło mocno krzyczeć, a ona robiąc ruch jakby go chciała rzucić mówi: „Cicho bądź, jak rzucę między myśliwych to cię zjedzą, jak naszego prosiaka“. Dziwne! już przeszło dwadzieścia lat, a tak się to w pamięć wbiło, żebym mógł odmalować, tylko szkoda, że nie jestem malarzem, a ręczę, że obrazek byłby ładny. „Przestań już nudziarzu! i kończ o tej Żmijce“, nie jeden pewnie powie, a zatem kończę. Przenocowawszy na sianie, o świcie ruszyliśmy na Liniecki step, tak, że pierwszy zając był szczuty Ab.... chartami, gdy wracał do miejsca. I choć daleko chodził, bo daleko był szczuty, ale Luba go wzięła. — Liniecki step, to jak Pol mówi, już jest klasyczny, bo mogił na nim dużo, a i komysze gęściej. Zające tam rude, krótkie i doskonale chodzą, tak jak na Samorodeckim stepie. Suki tego dnia cztery zające wzięły, powiem tylko tyle, że nadzwyczajnie, mogłem jeszcze dwa szczuć, ale po czwartym kazałem zawiązać smycz. Jednego Wasyl uszczuł a drugiego, którego Karpo upatrzył, odstąpiłem Ry...., bo jego charty przez cały dzień za jednym chodziły. Ale wróćmy nazad. Po uszczuciu trzech zajęcy lewe skrzydło zajechało gęściejszy komysz, wnet słyszę: „Hajż!“ i widzę lisa, do którego charty pana Z... już dochodzą, a choć go obracają i nawet parę razy przewróciły, nie biorą. Charty te znane były z tego, że doskonale brały lisa. Wtedy Ry.... mi mówi: „to Żmijka“, tymczasem lis idzie ponad linią szczwaczy od lewego do prawego skrzydła. „Chciałbym widzieć“, odpowiadam mu, i krzyczę do Wasyla, puszczaj! Ry.... swojemu także krzyknął puszczaj! a tak sześcioro chartów było puszczonych za biednym lisiurą. Ja pocisnąłem Stellę, żeby zobaczyć jak moje kuse wezmą tę Żmijkę, ale o dziwo! widzę, że nawet Łapcap porwał w pysk lisa, lecz w tymże momencie go puścił, przyzostał, i potem tak szedł, jakby go lis zupełnie nie obchodził. Dojechałem blisko tak, że mogłem dobrze widzieć, jak pies formalnie brzydził się wziąć w pysk tego lisa, a gdy go dotknął, to się otrząsł jak po żabie albo po wężu. Przypatrzywszy się, jak Żmijka ucieka, wstrzymałem Stellę, żeby daremnie ją nie męczyć, lis zaś jeszcze z ćwierć mili poszedł i schował się do jamy pod mogiłą. Przy końcu już go charty nie obracały. Wasyl gdy wrócił, pokazywał mi, że Łapcap od jednego porwania w pysk jeszcze się pienił, i dopiero w godzinę po zjedzeniu słoniny przestał. Po takim fakcie muszę wierzyć w żmijki, chociaż to jedyny wypadek w mojem życiu. Drugi raz trafiło mi się szczuć lisa tymiż kusymi chartami, a obracany duży kawał wrócił do zapustu, z którego był wyszedł i szczwacze okrzyknęli go Żmijką, ale pewny nie jestem, gdyż pole było ostre, a lis po obrocie jak zając od chartów się odsadzał i ani razu w pysku nie był. Od starych myśliwych słyszałem, że lis robi się żmijką wtedy, kiedy będąc małym straci rodziców i musi się żywić żabami i różnymi gadami. Czy to być może prawdą, ciekawych odsyłam do naturalistów.

Widziałem dziwne a zarazem zabawne zdarzenie z lisem u marszałka Langiego na Podolu rossyjskiem. Późną jesienią wypadały jego imieniny a był to kochany człowiek od młodzieży, bo tylko z nią żył, już przeżył dwie generacye, a za moich czasów przeszedł do trzeciej. Tuszy był dobrej i pomimo tego, co dnia i jakiby czas nie był, musiał jeździć dwie godziny konno, a nawet jak w drogę gdzie jechał, koń osiodłany biegł przy powozie, a zimą przy saniach. Charcie polowanie, ma się rozumieć, pasyami lubił. Charty miał zawsze dobre, bo był szwagrem Antoniego Szaszkiewicza, sławnego charciarza i króla bałagułów, przytem choćby z najdalszej okolicy sprowadzał i dobrze płacił. Gościnny był też do desperacyi i nie było rzeczy, którejby nie zrobił, żeby gościa u siebie zatrzymać, chowanie kół, spajanie furmana, a nawet zagważdżanie koni, ale co niektórych najwięcej odstraszało, to to, że zmuszał pić. Piwnicę miał sławną ze starych węgierskich win, przytem i zapaśną. Poznanie się moje z nim było zabawne. Zimą pod czas wielkich zasp śnieżnych jechałem na Podole i spotykam się w wąwozie z saniami tak jak i moje zaprzężonemi w cztery konie w lejc. Ominąć było bardzo trudno, trzeba było konie w ręku przeprowadzać, a sanie bokiem przewracać. Ale ten pan konie wstrzymuje i krzyczy: „proszę mijać!“ Ja odzywam się: „to niech pan mnie mija!“ Ba, widzę, że on sobie najspokojniej wydostaje wódkę, pije i czemś zajada. Miałem i ja coś do zjedzenia, robię to samo, aż widzę, że pan ten wyłazi z sani i idzie do mnie, mówiąc: „dlaczegobyśmy razem nie mieli przekąsić“. Siada u mnie na saniach, poznajemy się, kozak jego przynosi butelkę węgrzyna i tak na dobre śniadamy. A wypiwszy butelkę, pyta mnie, czy znam turecki pojedynek? Mówię, że nie. „No to dla naszej nowej znajomości, a myślę, że i przyjaźni, musisz ze mną go odbyć. Wpierw wytłumaczył, jak się to odbywa, rozesłano dywan na drodze, on się położył na wznak, ja koło niego, tylko nogami w przeciwną stronę, uchwyciliśmy prawe ramię za ramię, prawę nogi do góry, a że ja silniejszy Langie kozła przewrócił. Wypiliśmy jeszcze jedną butelkę, konie przeprowadzono i już tak uściskaliśmy się przy pożegnaniu, jak starzy przyjaciele. A zdaje się, że i bez łez się nie obeszło. Ale wracam do lisa. Więc jak wyżej wspomniałem, zjechało się nas kilkudziesięciu na jego imieniny. Bawiliśmy kilka dni. Kiedy się starsi rozjechali, Langie zaproponował polowanie i miał nam pokazać bardzo dobrego siwego tureckiego psa. Nazajutrz rano wyjechało nas kilkanaście koni z dwoma smyczami chartów. Trzeba i to wiedzieć, że w tej okolicy jest bardzo dużo lisów, bo tam co rzeczka to parów ze skałami i ścianami gęstej leszczyny. Tej jesieni Langie złapał dwanaście i jeszcze mu brakowało ładnego lisa na kołnierz. Już uszczuliśmy trzy zające, kiedy zajechawszy długą ale wąską smugą burzanu, przy końcu z samego środka wymyka dość blisko lis. W jednej chwili puszczają obydwa smycze. Langie wypuszcza konia a obracając się do nas krzyczy: „ot mam już i kołnierz“, bo rzeczywiście lis był bardzo ładny, ale o dziwo! charty jakoś nie zbliżają się do kołnierza, a nawet troje chartów pozostaje, tylko siwy idzie na dwadzieścia kroków od lisa i tak coraz dalej a zawsze dystans jednakowy. W końcu po przejściu z ćwierć mili lis schował się do jamy pod skałę. Bodaj czy nie pierwszy to lis w annałach myśliwskich, który od dobrych chartów uciekł bez obrotu. I bardzo jestem ciekawy, czy się komu podobny przypadek zdarzył? Kto tylko znał marszałka Langiego, musiał z pewno-

ścią o kołnierzu słyszeć, bo on każdemu o tym graczu lisie opowiadał.

Lis, chociaż nie ma tak ostrych pazurów jak kot, jednakże czasami w zadziwiający sposób łazi po drzewie. Zdarzyło mi się raz szczuć lisa i ten w obrotach skoczył do chałupy. Charty skaczą na około, my z koni, wchodzimy do sieni, zamykamy drzwi, szukamy, nigdzie nie ma! Dopiero Wasylowi przychodzi na myśl wleść po drabinie na strych i po chwili widzi kitę, wystającą z pod belka Po dobrej chwili ledwo udało się mu lisa wyciągnąć, tak się mocno trzymał pazurami. Także każdemu zapewne, kto polował z gończymi zdarzało się, że lis wskakiwał na drzewo i tym sposobem psy mylił, że ucinały. Miałem i ja takiego w Puzyreckiej rudzie, który przez dwa lata wykpiwał się w podobny sposób, aż go raz stary dojeżdżacz Gmyterko zobaczył, a zwoławszy gończe zrzucił z wierzby pomiędzy psy, które go udusiły. Przeróżne zdarzenia ma u nas myśliwy, i nawet takie, że trudno dać wiarę, aleź bo to różnorodność zwierzyny i różne rodzaje polowania nastręczają te zdarzenia. Cóż na przykład nadzwyczajnego może mieć niemiecki myśliwy na swojem polowaniu, zawsze z naganką i tylko zając, kuropatwa, albo już rogacz. Zapewne, że między myśliwymi zdarzają się i tacy, co zmyślają całe historye, i my mieliśmy takiego, któremu jak z rękawa sypały się zdarzenia, które nigdy świata nie widziały, ale broń Boże nie dać wiary, do końca życia tegoby nie zapomniał. — A bywało zacząć mówić o czem, to już pewno z nim było coś ciekawszego. Pamiętam raz mówiono o Żmijce. Pan An... wysłuchał, jak tamten skończył mówi: „et to głupstwo, moi panowie, ja wam opowiem ciekawszą historyę. W roku 18... miałem sławne charty polskie, które pojedynczo brały wilka, lisa i zająca. Wyjeżdżam raz na Horodelski step, wtem wymyka kopyra. Hajż! go! i puszczono mego Pioruna i Błyskawicę i te w momencie zająca doszły, ale w tejże chwili zając się zwraca i dawaj charty drzyć pazurami, a te ogony pod siebie i skomląc pod konie uciekły, a zając sobie poszedł". Rozumie się, że ta bajeczka homerycznym śmiechem była przyjętą, jeden tylko pan A..., który nie był myśliwym, ale także lubił zmyślać, mówi z całą powagą: „Rzeczywiście, zdarzają się nadzwyczajne wypadki na przykład, razem ze mną służył w kyrysyerach rotmistrz N..., wielki pijak, u którego w brzuchu sformował się lager i byle on na czczo szklankę wody wypił, już był pijany." — „Jakto, krzyknął pan An..., pan myśli, że ja nierozumiem, że pan swoją bajkę skomponowałeś na to, by moją prawdziwą historyę o zającu zabić!" Wtedy pan A... na seryo obraża się, że ten bierze to, co on mówi, za bajkę i tak na dobre się przemówili, że trza było wpływu gospodarza, by się przeprosili.

Kobyła Stella, o której często wspominam, służyła mi przez najmilszych lat dwanaście mojego młodego wieku. Dana mi była przez dziada i przeznaczona na wierzchową. Służyłem wówczas w kirysyerach i przyjechałem na urlop z Mańkówki z Humania do domu, a że mi trzeba było czwartego siwego konia do powozu, zaprzągłem ją do dyszla pomimo wykrzykników ojca mojego, że grzech popełniam zaprzęgając taką wierzchową kobyłę. I tak lato i jesień chodziła w powozie, aż po balu w Ochmatowie u państwa P... wypadł pierwszy śnieg i jakżeż to po pierwszej ponowie nie zapolować. Były tam jakieś dwa charty, każę więc Markowi, żeby mi wybrał najlepiej chodzącego konia ze czterech. Siodła mi kobyłę. Szczuję tylko dwa zające, bo charty gałgany, ale od tej chwili Stella już nigdy nie była zaprzężoną i do Mańkówki dojechałem trzema końmi, a ona już poszła za powozem. Od tej chwili oprócz mnie nikt na niej nie siedział, aż z musu przeszła w cudze ręce. Maści była siwej z hreczką, sierści delikatnej jak jedwab, nogi szerokiej, płaskiej a suchej jak żelazo, pęciny nic, kopyto lekkie i małe jak u sarny, oko duże i rozumne. Głowa sucha, mała, chrapy rozdęte, szyja długa, siły zadu i łopatek nadzwyczajnej, zad trochę ścięty przy pięknej odsadzie ogona. Pierś w miarę szeroka i żeber szerokich zaokrąglonych. Oto co do formy, przytem wytrwałości ogromnej i wielkiego rozumu, a tak była do mnie przywiązaną, że jak pies za mną chodziła i do pokoju i w pole. Czasem jak się wyrwie w step, to i w kilka koni ją nie zapędzą, aż sama wróci, albo mój głos zasłyszy, to do mnie pędem przybiegała i mogłem na nią siąść bez niczego, a szła jak dziecko. Nie zdarzyło mi się widzieć tak myśliwskiej kobyły. Bywało z gończymi w kniei przecinając sarny, jak lewą ręką dotknę grzywy, to z pełnego kłusu stanie jak okopana. Albo jak czekam na przesmyku, psy gonią, to cugle puszczone, a ona stoi ani się ruszy, i tylko uszyma zastrzyże, kiedy kurki odwodzę, a zwierza uchem czy węchem wpierw odemnie usłyszy, zawszę głowę w tę stronę zwróci. Dużo też lisów i sarn z niej zabiłem. A także kuropatw, dropi, przepiórek, i pardw. Chodziła nadzwyczajnym kłusem i co przy tem miała zadziwiającego, to to, że się prawie takim kłusem cofała, w czem objawiała się najwidoczniej siła zadu. Pływała tak, że prawie połowa jej była nad wodą. Nigdy podemną nie upadła, i po największych gołoledziach nigdy kutą nie była. Co też ja na niej nie wyrabiałem! Ilem światu zjeździł, rzek przepłynął! wilków, lisów i zajęcy uszczuł! To pewne, że nie było stepu na Ukrainie, gdzieby ona podemną nie była. Muszę też wspomnieć o jej sile i wytrwałości. Raz na wiosnę odprowadzałem śliczną pannę pięć naszych mil. Jako młody człowiek, nie było rowu, płotu, któregobym nie przeskoczył, wiedząc, że z powozu siwe oczy na mnie patrzą. W nocy zmęczony wracam do domu. Kładę się spać, aż zrana budzi mnie mój koniuszy. „Ach! mój Biły, mówię mu, czyż się godzi mnie tak zmęczonego budzić". — „Ale, bo proszę pana, kiedy warto, bo Stella ma źrebicę", odpowiada mi; myślałem, że nieżywą, ale gdzietam i ona i źrebie jak rybki zdrowe. Było to dla mnie zupełną niespodzianką, bo gdzieś odbiła na polowaniu, a po niej znać nic nie było. Była tak poczciwą, że kiedy Szabla, która w jej dużej klatce zawsze sypiała, w nocy pod nią oszczeniła się, to rozparta do samego rana ani się ruszyła, tylko rżała i głowę zwracała. W tem, co teraz opowiem o niej, potrzebuję odwołać się do panów Podolaków, z którymi przed siedmnastu laty polowałem, a którzy żyją, trzymają „Łowca" i czytać to będą. Wtedy miała Stella już lat czternaście. Polowaliśmy z biglami u panów Włodzimierza C..., Oktawa O... i Mieczysława W.... Forsowałem na niej po dwa zające dziennie. Ci panowie po każdym zającu zmieniali konie i to angielskie, a ja z moją wagą (bo ważę 180 wideńskich fnt.) byłem na niej jednej, a zawsze razem z psami, ale to właśnie wyda się nie podobnem do prawdy, że jechałem tylko kłusem. Jeden z tych panów, wielki amator idealnego araba, (chociaż trzyma angliki) w pokoju ją opatrywał leżącą, obstawioną kandelabrami, a wady znaleść nie mógł. Zdaje się jedną tylko znalazł, że była pietnastej miary. Jeszcze jeden epizod jej przywiązania do mnie muszę opowiedzieć. — Kiedy nas w 1863 roku rozłączyli, ona została na rosyjskiem Podolu, a ja przybyłem do Galicyi, sześć miesięcy nie widziałem jej. Byłem wtedy w Czarnokońcach u państwa W...., dają mi znać, że chłop przyprowadził kobyłę. Wybiegam z pokoju i z daleka wołam: „Moja Stello"; ta zaś jednym skokiem wyrywa się, a rżąc jak matka do źrebięcia pędem do mnie

*

przypada i obwąchuje i rży i jak pies koło mnie się łasi tak, że byłem do łez rozczulony. Już sam ją do stajni zaprowadziłem i pieszczotami i cukrem uraczył. Kiedy w 1864 roku wyjechałem za granicę, z bólem serca sprzedałem ją, ale poczciwemu człowiekowi. Czyżby to nie było grzechem o tak przywiązanej a razem myśliwskiej kobyle nie wspomnieć!!



# KILKA SŁÓW O SYSTEMACH BRONI ODTYLCOWEJ

NAPISAŁ

**Kazimierz Remiszewski.**

(Dokończenie).

Zasada iglicówek polega na tem, że igły za pociągnięciem cyngla sprężyną pchnięte wysuwają się i uderzają w masę wybuchową, zapalają takową. Masa ta może być umieszczoną na dnie ładunku lub wewnątrz takowego wśród prochu lub nad prochem. W pierwszym wypadku proch zapala się warstwami, nie jednocześnie, w drugim zaś wypadku igła w pierw przez proch przebić się musi, zanim się do masy wybuchowej dostanie, nie przypuszczając przytem wcale spalenia prochu. Z powyższego wynika, że iglicówki mają tę samą wadę powolnej explozyi prochu co i lefoszówki, a może nawet w większym stopniu jak te ostatnie. W ostatnich czasach starano się usunąć te braki i w tym celu masę wybuchową (kapsel) umieszczono w pokrywce papierowej, przez co rzeczywiście explozya cokolwiek została przyspieszoną. Patrony (rurki nabojowe) w systemie iglicowym są z grubego papieru z dnem tekturowem. W środku dna jest mały otwór, przez który igła przechodzić musi, zanim się do masy explodującej dostanie. Przez ten otwór gazy spalonego prochu dostają się podczas strzału do wnętrza zamku i zanieczyszczają takowy. W rozmaity sposób starano się temu zapobiedz, bądź przez gutaperchową zatyczkę, bądź przez zasłonięcie otworu tego cienką blaszką mosiężną, ale jeden i drugi sposób okazał się wcale niepraktycznym, gdyż w pierwszym wypadku rozgrzana igła oblepiała się gutaperchą i utrudniała odemknięcie strzelby, w drugim zaś igły tępiły się prędko i nie funkcyonowały jak należy. Oprócz tej niedogodności zachodziła jeszcze i druga w wydobyciu tekturowego dna patronu z lufy, potrzebne było do tego osobne narzędzie. Otóż w czasach najnowszych dopiero przez zupełne przekształcenie patronu t. j. przez zamianę dna tekturowego na blaszane i zastosowanie extraktora w systemie Teschnera, a sprężynek na lufie w systemie Dreysego, usunięto po części wiele niedogodności. Aby zamki ochronić od zanieczyszczenia przez gazy, urządzono poprawione naboje w ten sposób, że już nie igła bezpośrednio, lecz sztyfcik w nabój włożony, o masę explodującą oparty, takową przebija i explozyę powoduje. W ten sposób uniknięto wprawdzie zanieczyszczenia wewnętrznych części zamku przez gazy spalonego prochu, lecz zrodziła się niedogodność ta, że w naboju długo w torbie noszonym, sztyfcik się obluzuje i na zewnątrz cokolwiek wystaje. W takim razie, chcąc uniknąć bardzo nieprzyjemnego na polowaniu zawiedzenia strzału, trzeba sztyfcik w pierwotne położenie wcisnąć, narażając się na to, że nabój w rękach explodować może. Jeszcze jedna wada systemu iglicowego i to najgłówniejsza zasługuje na wzmiankę, a jest nią niebezpieczeństwo, na jakie narażony jest myśliwy iglicówki używający. Jak wiadomo chcąc strzał zaasekurować, należy kluczyk umieszczony na szyi osady obrócić o 180 stopni, w którym to położeniu klucz zasłania muszkę, a dźwignia wewnątrz z kluczykiem połączona opiera się o sprężyny, i niedozwala takowym o igły uderzyć, choćby cyngle zostały pociągnięte. Skoro jednak klucz w pierwotne położenie wprowadzić chcemy, aby strzelbę przygotować do strzału, zdarzyć się może i zdarza nawet dość często, że sprężyny o igły uderzają i strzał z obu luf następuje, co bardzo opłakane skutki za sobą pociągnąć może. Wady tej system Dreysego, mający sprężyny spiralne, nie ma, gdyż asekuruje się przez cofnięcie całego zamku, i igły choćby wyskoczyły, nabojów nie dosięgną.

Mechanizm, jaki do iglicówek zastosowano, jest dźwignia połączona z excentrem. W systemie Dreysego excenter posuwa lufy naprzód i zwraca je następnie na bok, a sprężynki lub haczyki na zamku, będącym przedłużeniem luf, przyśrubowane, chwytają blaszane dna patronów tak, że takowe wypadają, skoro lufy naprzód się posuną. W systemie Teschnera lufy posuwają się naprzód i spadają, a extraktor wysuwa blaszane dna patronów o tyle, że je z łatwością palcami wyjąć można.

Zważywszy wszystko, co dotąd o systemie iglicowym powiedzianem było, musimy się przejąć przekonaniem, że tylko szybkość nabijania i może po części moda były przyczyną, że system ten dość wielu znalazł zwolenników. Nie jest on wcale lepszym od systemu Lefaucheux'go, a oba t. j. system iglicowy i Lefaucheux'go pod każdym względem zostały przewyższone przez system centralny, znany pod ogólną nazwą systemu Lancastra. W systemie tym połączone są wszystkie zalety, jakie broń odtylcowa posiada. Rurki nabojowe są z kartonu czyli tektury, dno zaś z tektury tłoczonej, objętej mosiężną blachą. W środku dna w wypukłej osłonie metalowej umieszczony jest kapsel. Jeden lub dwa sztyfciki ostre opierają się jednym końcem o masę piorunującą kapsli, drugim zaś o wklęsłość osłonki metalowej, zaopatrzonej w mały otwór, w której kapsel spoczywa. Zamki i kurki systemu tego są podobne do kapslowych, tylko u Lancastrówek kurki spadają na sztyfty różnej konstrukcyi, a te uderzając o kapsel patronu zapalają. Ogień explodujący kapsla uderza przez mały otworek osłonki skoncentrowany w jeden promień w proch, przenika wszystkie warstwy takowego i zapala całą masę w patronie zawartego prochu równocześnie. Jak wielką wagę przywiązywać należy do tej ostatniej okoliczności, widać już z tego, że wszystkie prawie karabiny wojskowe są centralnego systemu. Zadaleko byśmy od rzeczy odbiegli, gdybyśmy chcieli opisywać wszystkie odmiany centralnego systemu. Polegają one tylko na różnej konstrukcyi sztyftów. Jedne mają sztyfty poziome, łączące się nie z kurkiem wprost lecz z orzechem (Bernimolin), innych sztyfty są ukośnie położone (Schneider), ze sprężynami

spiralnemi, z przyrządem dzwigniowym lub bez żadnych sprężyn itp. itp.

Do systemu centralnego bez kurków policzyć należy system rusznikarzy Lesse &. Timpe i księcia Pless. Są one bardzo podobne do systemu iglicowego, o igłach skróconych, tylko patrony są takie jak u innych strzelb centralnych. — Robią również kombinacye systemu centralnego i sztyftowego w ten sposób, że do jednej i tej samej strzelby patronów systemu Lefaucheux i Lancastra używać można naprzemian. W tym celu extraktor sięga aż do sztyfcika patronu Lefaucheux'go, a sztyfty potrzebne do systemu centralnego tylko wtedy o dno patronu uderzyć mogą, gdy kurki aż na lufy spadną, nie działają więc wtedy, gdy strzelba nabita jest patronem Lefaucheux'go, bo kurki na wystających sztyfcikach patronów się spierają.



# KORESPONDENCYE.

## Z Wołynia.

Dnia 4 Lipca strzelec barona St. dał znać, że w lasach Klemańskich, w powiecie Rowieńskim położonych, jest kilka łosiów. Wprawdzie nie stosowna to pora do takiego polowania, gdy wszakże łosie w owych lasach zawsze tylko chwilowo przebywają, nie należało ich przepuścić. Wyjechaliśmy więc w licznem sproszonem towarzystwie, składającem się z kobiet i mężczyzn, za Horyń, tam bowiem położone są lasy Klewańskie, a punktem zbornym była leśniczówka. — Gajowi obtropili pięć łosiów. Długo czekaliśmy na nagónkę, która przyszła dopiero o 10tej, i zaraz zajęliśmy miot. W stosunku do rozległości miotu było nagonki mało, przeto łosie ruszone zwróciły się na skrzydło nagonki, która nie mogła ich napędzić na linije strzelców. Drugi miot był również niepomyślnym, łosie poszły w sąsiednie moczary i gąszcze. Obadwa te mioty zabrały nam trzy godzin czasu, więc byliśmy już zniechęceni. O 1ej zasiedliśmy do śniadania, które nam panie własną ręką przygotowały. Humor rychło się poprawił, bo gościnność baronostwa St. jakoteż wesołe towarzystwo kazały nam zapomnieć o niefortunnem polowaniu. Tak zabawiliśmy się do 3ej popołudniowej godziny. W trzecim miocie, w którym płeć piękna wzięła także udział, puszczono gończaki, bo nagonka nie mogła przejść przez gąszcz i bagna. Po półgodzinnem wyczekiwaniu usłyszeliśmy wreszcie granie psów. — Przyznaję, iż z biciem serca i niecierpliwością wyglądałem zwierzyny, którą miałem pierwszy raz w życiu żywą zobaczyć Jakoż po kilku strzałach od strony nagonki, ujrzałem, nie wiedziałem, osła czy wołu, zwierzę jakieś wielkie, niezgrabne, był to łoś w całej swej okazałości. Myśliwi rozstawieni byli pod kątem rozwartym, i właśnie ku środkowi tego kąta zdążał łoś wolnym krokiem. Byłem oddalony od niego może na 300 kroków, strzelać więc do niego nie mogłem zwłaszcza, że strzelba nabita była półkulkami. Z przeciwnej strony stał baron St. o 250 kroków od łosia z oryginalnym sztućcem *express* w ręku, i strzelił dwa razy, pierwsza kula ugrzęzła w ziemi przed samem zwierzęciem, druga zaś przeszyła mu brzuch, i wyszła drugą stroną. Łoś ruszył szybko, a gdy się zbliżył na 25 kroków do myśliwych, padły trzy strzały. W końcu ostatni strzelił podleśny na 15 kroków, i trafił go w szyję. Widziałem, jak łoś po tym strzale się zachwiał, poszedł jednak jeszcze ze 400 kroków i legł w krzakach. W chwili, w której zajęci byliśmy tą starą krową, o czem później przekonaliśmy się, słychać było w gąszczu, z którego jeszcze nagónka nie była wyszła, nieustanne granie psów. Raz się ono przybliżało, to znowu oddalało, nie mogliśmy więc zrozumieć znaczenia tej muzyki, która trwała dosyć długo. Zniecierpliwieni posuwamy się naprzód, a po chwili usłyszeliśmy odgłos dwóch strzałów, padły one ze strzelby strzelca barona St. Prowadząc nagonkę zeszedł dwa cielaki i starego wołu, które nie chciały wyjść z tego bagna, a płoszone przez psy, zakreślały ciągle wielkie koła. Strzelec ukryty w gęstym krzaku pozwolił im zbliżyć się do siebie na 40 kroków, i dwoma strzałami powalił kilkumiesięcznego cielaka, jedną kulą przestrzelił mu uszy, drugą zaś kark. Ogromna ulewa przerwała nam polowanie, i stała się powodem ucieczki starego wołu i drugiego cielaka.

Wróciliśmy do domu z dwoma łosiami. Mięso łosie dobrze przyrządzone bardzo smaczne, i nie znalazłem różnicy w smaku między siedmioletnią krową a czteromiesięcznym cielakiem.

*Z. W.*

---

Słowo szczere do wszystkich myśliwych.— Gdy miną dnie rozkoszy łowieckiej, ucichną odgłosy nagónki i strzałów w kniejach, wtedy zbliża się pora, w której naszej zwierzynie łownej dajemy swobodę mnożenia się i pielęgnowania nowego pokolenia. Każdy z myśliwych zdaje sobie sprawę z działania łowieckiego, i nie jeden zmuszony przyznać, że rezultat wcale nie odpowiedział nadziejom. Szczególnie zawód ten dotyka nas co do kuropatw, a to w kraju, który z powodu bogatej kultury roli, i gęsto przerzynających ją wód powinienby być nader dogodną siedzibą wszelkiego ptactwa łownego. Z jakiegoż powodu nie ma go tam? Odpowiadamy zwykle: Kłusownictwo je tępi, a kłusownikami nazywamy jedynie tych, którzy nie mają upoważnienia do polowania, nie mają względu na prawo własności, na przepisy prawne, którzy z bronią sięgającą jeszcze dawnych czasów, z sidłami, samołówkami i t. d. wyruszają po zdobycz. Słusznie występujemy przeciw nim z całą surowością, i oddajemy ich pod rygor prawa. Ale nie są oni głównymi wrogami i tępicielami naszego zwierzostanu, są nimi raczej ptaki drapieżne, na których dotkliwą szkodę szerzącą drapieżność nie dosyć jeszcze zwracamy uwagi. Zaledwo wtedy posyłamy im morderczy strzał, gdy nader dogodna po temu nadarzy się sposobność, a dzieje się to zbyt rzadko z pomyślnym skutkiem, bo ów drapieżnik, obdarzony bystrym wzrokiem, dostrzega człowieka zwłaszcza uzbrojonego z znacznego oddalenia, i starannie go unika. Zresztą spokojnie przypatrujemy się jego łotrowaniu, i nie pomnimy, że jeden jastrząb w jednym dniu 2 do 3 kuropatw jako pastwę swoją porywa. Zwracamy przeto uwagę myśliwych naszych na budki z puhaczem, której szczegółowy podajemy opis. Znaczną część życia przepędziłem w Niższej Austryi, Styryi, Karyntyi, tam otrzymałem pierwszą naukę w zawodzie łowieckim, mogę przeto zapewnić, iż w tych krajach wszędzie na każde 5 mil kwadr. terenu łowieckiego urządzoną jest taka budka w następujący sposób: Na lekkiej wyniosłości w pobliżu lasu i wody wykopuje się jama

około 3 do 4 stóp głębokości, 6 stóp długości i szerokości, i otacza się ją wokoło wyrzuconą ziemią. W każdy kąt tej jamy wbija się pal, a na owych czterech palach umieszcza się lekki daszek. Zwykle wchód urządza się w stronie północnej, w zachodniej zaś okienko, przez które dwóch myśliwych wygodnie patrzy i strzelać może. Całość pokrywa się darnią tak, iż nawet z bliska ma ona pozór zwykłego pagórka. Mniej więcej na 30 kroków od okienka wbija się mocny pal w ziemię i utwierdza na jego szczycie deszczułkę wielkości talerza, na której umieszcza się jako przynętę dla drapieżnego ptactwa żywego puhacza. Wiadomo, iż puhacz *(bubo maximus)* jest najgroźniejszym wrogiem wszelkiego dziennego ptactwa drapieżnego, które też ściąga się z dalekiej odległości w celu uderzenia nań. Tak zaciekłą jest nienawiść dla niego, iż często jastrząb mimo strzału ku niemu wymierzonego, a chybionego, na puhacza nieustannie uderza. Z takiej budki zabiłem w roku 1869 w jednym poranku 22 rozmaitych ptaków drapieżnych, między nimi jednego sokoła szlachetnego, dwa jastrzębie i dwa kruki. Naturalnie nie zabija się ptaków pożytecznych dla kultury rolnej i leśnej, choćby najgroźniej na biednego puhacza nacierały, a do tych należą: myszołów zwyczajny *(buteo vulgaris)*, wrona *(corvus cornix)*, gawron *(corvus frugilegus)*, kawka *(monedela turrium)* i inne. Polecamy to najusilniej tym zwłaszcza, dla których ten sposób polowania jest nowym. Puhacz znajduje się w całej Europie na znacznych wyżynach gór i w lasach, nawet bliskich mieszkań ludzkich. Gnieździ się w Marcu w dziupłach drzew, kładzie 2 do 3 jaj, i wybierany bywa na wyżej wskazany cel z gniazda. Chowa się w niewoli przez wiele lat, rozmnaża, ale oswoić go trudno, z tego powodu ostrożnie nieść go trzeba do budki, podrażniony bowiem kąsa dotkliwie. Utrzymanie jego nic nie kosztuje, żywić go można rozmaitem ptactwem drapieżnem, jak: srokami, jastrzębiami, które w miarę potrzeby się bije. Mając puhacza, którego zresztą nie trudno dostać, zakłada mu się na jedną łapę skórzaną obrączkę, i umocowuje do niej żelazny łańcuszek. Wyruszyć z nim należy z brzaskiem dnia, w każdym razie przed wschodem słońca, w tej bowiem porze ptactwo drapieżne najchętniej ciągnie, i przybywszy do budy, w której można puhacza nawet przez całą dobę zostawić, jeżeli jest zamykaną, umieścić go na palu. Mogę sz. myśliwych zapewnić, iż nie ma może bardziej wzruszającego i przyjemniejszego polowania jak to, które zresztą wiele przynosi pożytku, a ten wnet się daje uczuć, dla tego polecam je jak najmocniej. Byłbym szczęśliwym, gdybym tem pismem mojem mógł choćby kilku do takiego polowania zachęcić, a jestem pewny, że wnet inni ich naśladować będą, i spostrzegą pomyślny skutek swoich zabiegów. Wtedy nie będzie rzeczą nadzwyczajną, że w jednym dniu myśliwy z dobrym wyżłem spłoszy kilka lub kilkanaście stadek kuropatw. Kończymy wykrzyknikiem:

„Tępmy gorliwie w budkach lotne drapieżniki!“

*Czerny.*

# KRONIKA.

Olejów, 24 Lipca 1881.

Dawniej już opisywałem hodowanie sarn na probostwie Olejowskiem, dziś dodaję epizod uzupełniający ów opis. Sarna chowana i ułaskawiona wymknęła się po dwóch latach dobrowolnej niewoli do lasu w Listopadzie, pozostała w nim przez kilka tygodni, powróciła do swego hodowcy, i w Maju wydała na świat koźlątko na łanie żytnim, przylegającym do ogrodu. W rok później wraz z swym potomkiem uszła w świat przyrody w celu używania wolności. W owym roku, na tym samym łanie zasiano oziminę. W miesiącu Czerwcu spostrzegli domownicy proboszcza sarnę kroczącą ku plebanii, obchodzącą dokoła budynki, ogrody, i powracającą w gąszcz zboża, ale nie witała się jak dawniej z domownikami. Widocznie wróciła sarna do swej ojczyzny, ale niepodobna było stwierdzić, czy to stara matka, czy też córka urodzona w tym łanie. Prawdopodebnie wychowuje znowu w oziminie sarniątko, często bowiem w niej bywa widywaną. Niejednokrotnie uważałem to przywiązanie sarn do miejsca urodzenia, i podziwiałem pamięć tych zwierząt. Posiadając od wielu lat rozrzucone po polu laski, widywałem tam w lecie sarny, później z przychowkiem, wędrujące po opadłym liściu do obszerniejszych kniei, a powracające wiernie i corocznie do tych samych miotów.

Jak niebezpiecznym wrogiem dla sarn jest lis, niechaj stwierdzą dwa wydarzenia. W miesiącu Lipcu, zatem dwumiesięczne sarniątka, jeszcze centkowane, przebiegały w popłochu koło leśniczego, czatującego na szkodników leśnych, a za niemi szedł lis, krzykiem od nich odstraszony. W innem lesie przed kilku dniami znaleziono zagryzione sarniątko, zasadzka nie wykryła rozbójnika z powodu ciemnej nocy, a po 24 godzinach pozostały tylko szczątki sarniątka. Oczywiście lisy je zjadły, wilków bowiem nie ma w moich lasach.

Muszę jeszcze powtórnie oskarżyć złodziejkę srokę, i zwrócić uwagę kolegów myśliwych na szkody przez nią wyrządzane. Jak każdy złodziej, tchórzem ona podszyta, ostrożna i przezorna nad miarę wobec większej a wedle jej przekonania groźnej dla niej zwierzyny, wtedy krakaniem i skrzeczeniem zwołuje na pomoc towarzyszki, a gdy głos jej nie zwabi dostatecznej ich liczby, to leci dalej w las i oznajmia nagłą potrzebę większego zgromadzenia. Dnia 5 Czerwca r. b. usłyszeliśmy takie zwoływanie, a pospieszywszy byliśmy świadkami rzeczy nader ciekawej. Siedm srok skrzeczy i skacze na rowie, wskakuje do środka, i powraca, a w głębi rowu siedzą trzy zajączki skamieniałe z przerażenia, nieruchome. Odpędziliśmy sroki napastnicze, wynieśli ofiary w gąszcz i tem ocaliliśmy im życie. *Kazimierz hr. Wodzicki.*

---

Podkamień, 17 Sierpnia.

Że zwierzyna miewa czasem jakieś dziwne kaprysy, o tem się z pewnością każdy myśliwy nieraz przekonał. Dziwnie sobie upodobać lubi niektóre miejscowości, i przebywa w nich, a powodu tego upodobania trudno nam wyśledzić. I tak w okolicy obfitującej w stawy w okolicach Rohatyna i Chodorowa posiadam staw w Bieńkowcach, na którym w znacznej liczbie gnieżdżą się co roku dzikie gęsi. Od lat 26 spostrzegałem, iż co roku kilka par przynajmniej wylęgało się, lubo czasem na stawach okolicznych niebywało ich wcale. Ten rok wszakże był wyjątkowym, gdyż miałem ich siedm gniazd, które się bardzo szczęśliwie wylęgły. Polując parę razy ubiliśmy dotąd szesnaście gęsi, ale to rzecz dziwna, że dnia 17 Sierpnia zastałem jeszcze stado nielatających wcale podlotów, które się skryły w tak gęste szuwary, że łódką nie można było do nich dojechać. O ile pamiętam, zawsze młode gęsi, bardzo już lotne z końcem Lipca, odlatywały przed 1 Sierpnia z naszych stawów. Prawdopodobnie więc dopiero za dni kilka będę mógł użyć przyjemności polowania na pozostałe jeszcze gęsie podloty. Te spóźnione tegoroczne lęgi są rzeczą nadzwyczaj ciekawą. — Wiele napotykam teraz jeszcze nielatających podlotów ceranek. *Leopold hr. Starzeński.*

---

Towarzystwo myśliwskie Pruchnicko-Kańczudzkie. Nie wszystkie okolice kraju naszego mogą się pochwalić taką łącznością obywateli, jaką się cieszą mieszkańcy dwóch graniczących z sobą powiatów: Jarosławskiego i Łańcuckiego. Przy czynnym a gorliwym udziale wielu w Radach powiatowych, Kasach zaliczkowych, Towarzystwie gospodarskiem i t. d., nie pozostaliśmy w tyle i z myśliwstwem, bo na wiosnę r. b. kilkunastu obywateli zebranych u Wgo Władysława Bzowskiego w Pantalowicach, założyło Towarzystwo potwierdzone przez c. k. Namiestnictwo pod nazwą: Pruchnicko-Kańczudzkie Towarzystwo myśliwskie. Nie posiadamy wszyscy lasów, więc ograniczyliśmy działalność Towarzystwa na pola, krzaki i potoki tak na obsza-

rach dworskich jak gminnych, gdyż te ostatnie z funduszów wspólnych będą dzierżawione, a całoroczni dozorcy już pilnują szkód w zwierzostanie i kłusowników. Towarzystwo liczy obecnie w swem gronie 25 członków, i obejmuje rejon 22 gmin w obu rzeczonych powiatach z obszarem przeszło 25.000 morgów, a wydział wybrany i złożony z WW. Władysława Bzowskiego jako prezesa, Stefana Preka jako zastępcy, Kazimierza Zakliki, Karola hr. Scipiona i Eustachego Wolskiego jako członków, czuwa nad wykonaniem przepisów przyjętego Statutu i Regulaminu i da Bóg doczekać jesieni, organizować będzie wspólne dla wszystkich członków polowania, którym jeśli nie wszędzie w pierwszym roku, to w następnych piękną przyszłość wróżyć można.

Statut składamy sz. Redakcyi do ogłoszenia, a w miarę rozwoju Towarzystwa nie omieszkamy udzielić godnych wzmianki wiadomości i szczegółów.

W Czerwcu 1881.

*P. R.* Z całą serdecznością witamy nowe Towarzystwo myśliwskie, zawiązane w skutek inicyatywy p. Wł. Bzowskiego. Według relacyi okolica ta ma znaczne obszary pól, a bardzo mało lasów, położonych u podgórza. Na pochwałę tamtejszych myśliwych dodać należy, iż lubo Statut znacznie ścieśnia ich swobodę polowania, nie wahali się oni przystąpić do Towarzystwa. Ma ono obecnie dwóch przysięgłych dozorców z płacą po 150 złr. i strzałowego od psów, kotów, jastrzębi i innych drapieżników. Ponieważ statuta tego Towarzystwa ułożono na podstawie Statutu Tow. im. św. Huberta we Lwowie, przeto umieszczać ich w „Łowcu nie widzimy potrzeby, chybaby Towarzystwo samo umieszczenia wymagało. Upraszamy o przesłanie nam sprawozdań z posiedzeń Wydziału jakoteż rocznych rezultatów działań Towarzystwa.

---

Tuczempy, 22 Sierpnia 1881.

Piszę, by donieść o rezultacie strzelania z Choke-bora. Dziś zabiłem z niego 22 kuropatw i 6 przepiórek, strzela nadzwyczajnie. Wszystkim, którzy go widzieli ogromnie się podobał, w ogóle z niego zabiłem już 56 sztuk. Jedyna rzecz, którąby mu zarzucić można jest, że na kroków 20 albo 30 z niego zabita przepiórka tak jest rozbitą, że nie ma co zbierać, lecz to naturalnie tylko zaletą jest strzelby a nie wadą.

*W. Micewski*

---

Towarzystwo myśliwych w Stanisławowie. Pismo „Głos Stanisławowski“ ogłasza: Walne doroczne zgromadzenie stanisławowskiego Towarzystwa myśliwych, odbyte dnia 29 Czerwca pod przewodnictwem prezesa p. Zbigniewa Cieńskiego, po odczytaniu protokołu z ostatniego posiedzenia przez sekretarza p. Kolankowskiego, wysłuchało sprawozdania z czynności Wydziału, z którego widać, że Tow. myśliwskie w bardzo krótkim czasie swego istnienia rozwija się znacznie. Przy ukonstytuowaniu się w r. 1880. (z końcem Października) liczyło członków 18, a dziś liczy 23. Rok ubiegły był nadto jednym z najgorzej sprzyjających łowiectwu. Brak zwierzyny, a szczególnie zajęcy, w kniejach wyniszczonych, jakie Tow. odebrało, mógł niejednego odstraszyć myśliwca. Członkowie Tow. polowali przez cały sezon 5 razy z nagonką, i zabito 26 zajęcy i 4 lisy, co na obszarze około 18.000 morgowym, z jakiego Tow. za opłatą 300 złr. korzysta, nic prawie nie znaczy. Od czasu zawiązania się Tow. nie zdarzył się ani jeden wypadek wykroczenia przeciw krajowej Ustawie łowieckiej ze strony członków. Dalej dotyka sprawozdanie stosunków z c. k. Starostwem w sprawie uregulowania polowania. Polowań, które Towarzystwo dzierżawi, jest sześć. Pawełcze za Złr. 106.50, Sielce za 33, Chryplin za 12, Uhrynów za 11, Opryszowce za 5.30, Rybno za 80.“

Z sprawozdania rachunkowego wynika, że Tow. miało od 2. Paźdź. 1880 do 1. Czerwca 1881 dochodu 386 złr. 6 ct., rozchodu 334 złr. 90 ct., pozostałość kasowa wynosi 52 złr. 16 ct.

Sz. Sekretarz tego Tow. p. Kolankowski przesłał nam łaskawie sprawozdanie i statuta. Upraszamy o udzielenie nam bliższych wiadomości o zawiązaniu się Towarzystwa, składzie Wydziału i rezultacie działań.

Przy tej sposobności pozwalamy sobie zaregestrować istniejące dotąd w kraju naszym obok centralnego we Lwowie Towarzystwa myśliwskie:

Towarzystwo Lisowskie.
„ Sołotwińskie.
„ im. św. Huberta we Lwowie.
„ mieszczan Lwowskich.
„ Rzeszowskie.
„ Próchnicko-Kańczudzkie.
„ Stanisławowskie.

Sprawa racyonalnego rozwoju łowiectwa szerzy się w kraju, myśliwi nasi już dziś widzą w niem nie czczą rozrywkę, ale jedną z gałęzi dobrobytu krajowego, tępiąc kłusownictwo przyczyniają się do umoralnienia ludu, starają się wzbogacić wiedzę swoją łowiecką cennemi wiadomościami z dziedziny nauk przyrodzonych, chętnie poddają się prawu łowieckiemu i czuwają troskliwie nad ścisłem jego przestrzeganiem. — W obec takiego stanu rzeczy słusznie pomyślną możemy wróżyć przyszłość dla łowiectwa krajowego, a obok tego przejąć się usprawiedliwionem przekonaniem, że jak na innych tak i na tem polu pracujemy z istotnym pożytkiem. Jeżeli Redakcya „Łowca“ dotąd nieco w tym względzie się zasłużyła, to może zapewnić, iż w dalszem swojem działaniu, cele łowieckie tak ogólne jakoteż pojedyńczych Towarzystw myśliwskich zawsze gorąco popierać będzie.

---

C. k. Namiestnictwo lwowskie przesyła nam do ogłoszenia:

*Stypendya:* Akademia rolniczo-leśna *(Hochschule für Bodenkultur)* w Wiedniu rozdaje na rok szkolny 1881/2 trzy stypendya rządowe po 400 złr., mianowicie jedno dla słuchacza nauk rolniczo-gospodarczych dwa zaś dla słuchaczów nauk leśniczych. Ubiegający się o te stypendya winni podania swoje, poparte świadectwami ubóstwa, jako też świadectwem dojrzałości z gimnazyum czy wyższej szkoły realnej lub innymi allegatami, wnieść do Wysokiego c. k. Ministerstwa oświaty, wręczając je Rektoratowi wyżej wymienionej Akademii najpóźniej do 25 Września r. b.

Wiedeń 5 Sierpnia 1881.

---

Administracya Łowca otrzymała d. 6. Sierpnia przekaz pocztowy z Jarosławia na 5 złr. jako wkładkę do Tow. łow. za r. 1881, w którym nazwisko nadawcy nie było wymienione. Nie mogąc owemu bezimiennemu członkowi przesłać pokwitowania na uiszczoną wkładkę, uprasza go o rychłe podanie swego nazwiska.

---

Polowanie na wilki. — Któż tego nie dostrzegł, że psa karanego chłostą w obecności innych psów, świadkowie opadają i kąsają go zajadle. Nie umiem wyjaśnić tego dziwnego zjawiska, nie zdarzającego się u innych zwierząt (prócz u człowieka); spostrzegłem jednak próbkę takiej zaciekłości na jednem z polowań na wilki.

W zimie r. 1854/5 stał pułk, w którym służyłem, w okolicy Lwowa, a z pułku tego zakwaterowano trzy szwadrony w Jaworowie, trzy zaś w Janowie. Oba te miasteczka oddalone są od siebie o cztery mile bezmała, a łączyła je droga wzdłuż wspaniałego lasu dębowego. Las ów niezmiernej rozległości ciągnący się nieprzerwanym pasmem aż do Rossyi, jest zupełnie prawie pozbawiony zwierzyny pożytecznej, a wilki i lisy, zrzadka żbiki — głoszono nawet o rysiach — żyją tu swobodnie i łotrują. Szukają żeru — mówię tu o wilkach — w sposób zuchwały i rozbójniczy tak w lecie jakoteż w zimie. W zimie zwłaszcza z nadzwyczajną zuchwałością opadają trzody owiec i świń, wciskają się do zagród wiejskich, zkąd wybierają pastwę dla siebie w koniach, krowach a nawet w psach łańcuchowych. Podczas srożących się mrozów czatują przy ścieżkach leśnych na wozy chłopskie, których zaprzęgi opadają z wściekłością, i nieraz się zdarza, że uprząż złożona z dwóch lub trzech koni bywa w nader krótkim czasie rozszarpaną i pożartą, a biedny wieśniak zawodząc z trwogi i żalu, na pół martwy z zimna musi drągiem się bronić i spiesznie wchodzi w gąszcze.

Pewien właściciel włości w okolicy Jaworowa — nazwiska nie pamiętam — przybył raz śród takiego straszliwego mrozu do mnie i do moich kolegów zapraszając nas na hecę wilczą, jak się wyraził. Mówił on o ogromnej liczbie wilków, które głodem pędzone wpadają w nocy do jego stajni, umieszczonej w lesie, z której już wiele sztuk z trzody rozszarpały. Nam pawdziwym myśliwym zdawało się to opowiadanie niepodobnem, lubo wiedzieliśmy o tem, że często na drodze między Jaworowem a Janowem pojawiały się wilki, że nawet pieszym i jadącym podróżnym towarzyszyły nieraz dosyć daleko i nabawiały ich śmiertelnego strachu. Mimo to jednak przyjęliśmy chętnie zaproszenie, obywatel był bowiem wesołym towarzyszem, biorącym zawsze udział w złej i dobrej naszej doli. Po obiedzie podczas straszliwego mrozu wyjechaliśmy, jeżeli sobie dobrze przypominam, w sześć osób, okutani w futra i koce, małemi załubniami, zaopatrzeni w wyborną broń i doskonałą wódkę. — Miejscem zboru był rodzaj szopy, skleconej z drzewa, obrzuconej gliną, w której znajdowała się trzoda złożona z 200 owiec i 100 świń, a strzegli jej dwaj pastuchy. Po przybyciu nastąpiło naturalnie przedewszystkiem przesłuchanie pastuchów, którzy widocznie niezmiernie w swych

opowiadaniach przesadzali, zawsze jednak z tych wielce bałamutnych podań mogliśmy sobie robić nadzieję pomyślnej wyprawy na wilki. Wybornie uraczono nas herbatą z rumem, pieczonemi kartoflami, owczym serem, poczem dokładnie ułożono plan kampanii. Gospodarz polowania czyli raczej hecy, kazał poczynić do łowów przygotowania, które na tem polegały, że przymocowano do obu skrzydeł zachodniej bramy na krzyż dwa sznury, a te miały służyć do ściągania skrzydeł bramy i złowienia tym sposobem wilków w razie, gdyby cała ich gromada dała się zwabić. Następnie umieszczono na stosie gnoju w środku dziedzińca stajennego martwą owcę. Tymczasem zapadła noc, a my rozstawiliśmy się po rozmaitych zakątkach stajni. Po bardzo długiem wyczekiwaniu, około godziny może dziesiątej, pojawił się w największej cichości — a była to jasna noc miesięczna — ogromny wilczysko, jakiego przedtem i później nigdy nie widziałem, szedł ku zagrodzie krok za krokiem, wietrzył ostrożnie z nosem w górę podniesionym. Zdawało się, że odkrył w śniegu ślady stóp ludzkich, zwrócił się ku bramie, to znowu powrócił, posuwał się zwolna wzdłuż ścian stajennych, i w końcu zbliżył się do przynęty, znalazł ją wbitą na ostrym kole, jednem szarpnięciem wyrwał łopatkę i z nią pomknął ku bramie, na co według naprzód ułożonego planu chętnie i bezwarunkowo zezwoliliśmy. Bezmała po dziesięciu minutach wrócił ów rozbójnik z sześciu czy siedmiu towarzyszami szybkim krokiem do ponęty. W tejże chwili dał znak gospodarz, aby ściągnięto skrzydła bramy, poczem rozpoczęła się heca. Nie mogę dokładnie podać, ażali naczelnik bandy zbójeckiej otrzymał pierwszą kulę, albowiem miotanie się zamkniętych wilków było tak szalone, rozpaczliwe ich skoki ku bramie i drzwi stajennych tak natarczywe, wycie tak przeraźliwe, iż każdy z strzelców nadto był poruszony, by pojedyńcze szczegóły tego strasznego chaosu mógł rozpoznać i w pamięci umieścić. Ponieważ nie w każdą stronę można było strzelać, szło tu bowiem o nasze własne bezpieczeństwo, a wskazany kierunek strzałów nader był ograniczony, ubiegło przeto pół godziny, nim cała gromada wilków trupem legła zwłaszcza, iż myśliwi byli do tego stopnia poruszeni, iż każdo z zabitych zwierząt miało w sobie dwie lub trzy kule, a niektóre prócz tego jeszcze kilka lotek.

Rozstrój nerwowy spowodowany tą krwawą katastrofą, zimno, smród z cielsk wilczych, a w skutek tego beczenie i rechtanie trzody nie pozwoliły nam zasnąć. Nazajutrz rozpatrzyliśmy pole walki, cały dziedziniec i porzucone na nim trupy. Śnieg był wszędzie krwią zbryzgany, cały czworobok zagrody jakby pługiem zorany, po ścianach okazały się ślady pazurów i zębów wilczych, a jedna z tych bestyi, naprzód kulą rażona, była przez resztę wilków w tym strasznym zamęcie tak mocno pokąsaną, iż jej jelita z cielska wypadły. Tę ostatnią okoliczność stwierdziliśmy naocznie ja i dwaj z moich towarzyszów, zgadza się ona w zupełności z zwyczajem obłaskawionych wilków i naszych nieodstępnych towarzyszów — psów, podnoszę ją więc jako charakterystyczną cechę — nie wiem czy całego rodu psów. *Sylwan.*

*P. R.* Wyjmujemy ów arcyciekawy opis z *Jagdzeitung*. Jakkolwiek pewnem jest, iż przed 30 laty o wiele więcej jak dzisiaj bywało u nas wilków, i lasy rozlegały się na znacznie większych obszarach, — to jednak wypadek ów, może istotnie prawdziwy, zdaje nam się być nieprawdopodobym.

## OGŁOSZENIA.



Redaktor: Józef Łoziński.  Adres: Władysław Zontak ul. Teatralna Nr. 18.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Zorża.